Nr 271 Kraków, Niedziela dnia 24 Listopada 1895. Rok III

GŁOS NARODU

Przedpłata
w Krakowie:
rocznie złr. 16·—
kwartalnie „ 4·—
miesięcznie „ 1·35
Za odnoszenie ct. 20
Na prowincji:
rocznie złr. 20·—
kwartalnie „ 5·—
miesięcznie „ 1·70
Za granicę:
miesięcznie złr. 2·—

Numer zwykły 8 ct.
Niedzielny 10 ct.

Ogłoszenia
Za wiersz 6 ct. Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach 1½ ct.
W „Nadesłanem“ wiersz zwykły 20 ct.
Śluby, nekrologi, wiersz 40 ct.
Do działu inseratów upełnomocniony *Jan Strycharski*

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych o godzinie 8 rano.

Adres Redakcji: **Kraków, ulica Krupnicza l. 11.**

REDAKTOR NACZELNY: **JÓZEF ROGOSZ.**
Redaktor odpowiedzialny: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Adres Administracji: **Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.**

Cisza przed burzą.

W kwestji wschodniej, która w ostatnich dwóch miesiącach tak rozgorączkowała europejskich dyplomatów i polityków, nastało chwilowe uspokojenie. Ale w Yldiz-kiosku bez ufności patrzą na tę źle wróżącą ciszę, która od kilku dni zapanowała w pałacach ambasadorów, wyczekujących cierpliwie na skutki porozumienia mocarstw, zainicjowanego przez hr. Agenora Gołuchowskiego. Sześć nowych statków europejskich, które na podstawie sułtańskiego firmanu przeszły przez Dardanelską cieśninę, przywozi z sobą koniec moralnej niezależności Turcji; żądanie na pozór tak niewinne, jak zaznaczenie potrzeby utrzymywania drugiego okrętu stacyjnego przez każde z mocarstw podpisanych na traktacie berlińskim, stwarza nagle potężną flotę, która w razie potrzeby i pod warunkiem solidarności zdoła najsurowsze państwu padyszacha dyktować warunki. Cisza dni ostatnich może zatem być bezpośrednim wstępem do burzliwej przyszłości, do wstrząsających wypadków, których poważne następstwa nie łatwo dadzą się przewidzieć.

Czy będzie nim rzeczywiście? Sytuacja chwili obecnej jest tak zagadkowa i zawikłana, iż nić przewodnia, za którą idąc, możnaby snuć rozumowania logiczne, nawet dla zręcznych i doświadczonych dyplomatów gubi się gdzieś wśród ogromu kwestyj związanych ściśle z kwestją wschodnią i wśród sprzeczności najdonioślejszych interesów mocarstw. Starajmy się jednak w przybliżeniu zdać sobie sprawę z obecnego stanu sytuacji i z przyczyn, jakie ją wytworzyły.

Jest rzeczą wiadomą, iż początkiem przesilenia przez jakie obecnie przechodzi Turcja, a z nią i Europa, było powstanie Armeńczyków. W ostatnich dniach urzędowe depesze tureckie usiłują gromadzić dowody drobiazgowe, mające wykazać, że jedynie rewolucyjna działalność armeńskich komitetów stała się powodem zamieszek, rzezi, okrucieństw. Dowodzić to tak usilnie znaczy tyle, co *enfoncer les portes ouvertes*, jak mówią we Francji. Ambasador rosyjski mógł tylko z nadzwyczajną obłudą udawać, że o tem nie wie i czytać sprawozdania tureckie, jako sensacyjne dla siebie rewelacje, na to jedynie, ażeby w liście do armeńskiego Katolikosa naprzód, a potem zapewne i w notach dyplomatycznych do państw europejskich upozorować zręcznie obmyślaną z góry zmianę frontu. Fakt, że Turcja ma do czynienia z rewolucją armeńską, od pierwszej chwili nie ulegał wątpliwości. Rewolucja to niepodobna do innych, nieześrodkowana, rozproszona na tysiące drobnych, lokalnych powstań i rokoszów, ale pomimo to ożywiona jedną wspólną myślą, ożywiona patrjotycznem poczuciem i choćby słabą nawet nadzieją odzyskania niezależności. Jeżeli rozumiał to zwyczajny czytelnik gazet, o ileż lepiej rozumieć to musiały gabinety europejskie!

Wobec faktu powstania w Turcji, mocarstwa miały do wyboru trzy drogi: albo tak, jak to było niedawno temu z powstaniem macedońskiem, zająć wobec powstańców stanowisko odporne, stanąć po stronie legalnej władzy, użyczyć tureckiemu rządowi moralnego i materjalnego poparcia i czynić wszystko, aby powstanie w zarodku stłumić; albo zająć bierne stanowisko nieinterwencji i zostawić rzeczy ich własnemu rozwojowi; albo wreszcie stanąć po stronie żądań armeńskich i zmusić Turcję do kapitulacji i ustępstw. Tę ostatnią drogę wybrała Anglja; dlaczego? Czy przez proste poczucie ludzkości i sprawiedliwości, widząc rzeczywiste krzywdy armeńskiego narodu i słysząc o tłumnych rzeziach chrześcijan, na których, za rewolucyjne zachcianki mścił się sfanatyzowany tłum Muzułmanów? Być może, że i dlatego także; trudno jednak przypuścić, że tylko dlatego. Prawdopodobnie za rządów whigowskich uczucia czysto humanitarne przeważały w niezdecydowanych, mało energicznych krokach rządu Wielkiej Brytanji. Ale lord Salisbury prowadził w dalszym ciągu tę akcję z silnym zamiarem stanowczego rozwiązania kwestji wschodniej. Po wojnie chińsko-japońskiej, którą Rosja umiała tak zręcznie wyzyskać dla rozszerzenia swego wpływu na azjatyckim Wschodzie, nie było dla lorda Salisburego rzeczą tajną, że prędzej czy później musi przyjść do konfliktu pomiędzy wielorybem a niedźwiedziem, pomiędzy Anglją a Rosją. Każdy rok zwłoki pozwala tylko Rosji udoskonalać uzbrojenie armji i rozszerzać połączenia komunikacyjne; nie było ani chwili do stracenia. Trzeba było śmiałą ręką albo sparaliżować od razu Rosję na wschodzie europejskim, ażeby potem mieć tem większą w Azji swobodę, albo też zmusić ją do zdarcia maski z twarzy i grożący konflikt przyspieszyć.

Tak sobie tłómaczymy nagły, nadzwyczaj silny nacisk na Turcję, z jakim wystąpiła Anglja z okazji armeńskiego powstania. Mocarstwa trójprzymierza zajęły wobec powstania drogę najwygodniejszą i pozornie w interesie europejskiego pokoju najbardziej wskazaną: zdecydowały się na bierną nieinterwencję. Stanowiska tego Rosja dzielić nie mogła; znaczyłoby to dla niej tyle samo, co wyrzec się swego wpływu i znaczenia na półwyspie Bałkańskim na korzyść Anglji. Austrja mogła to uczynić spokojnie, dzięki wspólności interesów angielskich z austrjackiemi i wobec swego całkowitego dla Anglji zaufania. Dla Rosji byłby to rodzaj samobójstwa. Wypadało zatem albo oświadczyć się przeciwko Armeńczykom i przeciwko Anglji, albo do akcji angielskiej się przyłączyć. Pierwsze pociągnęłoby za sobą bezpośrednio konflikt zbrojny z wielkobrytańską potęgą, na co lord Salisbury był niezawodnie dobrze przygotowany, drugie byłoby o tyle niezmiernie sprytnym krokiem dyplomatycznym, że przyczyniało się do zabagnienia i odwleczenia sprawy, wytwarzało *status quo*, mogące trwać Bóg wie jak długo, umożliwiało nietylko ścisłą kontrolę nad angielską polityką, ale i przeszkadzanie jej w razie potrzeby, a przedewszystkiem psuło wszystkie plany lorda Salisburego, który tej ewentualności zapewne najmniej się spodziewał.

Rosja zatem, a za nią niewolniczo nierozdzielna Francja, która od dni tulońskich kierunek swojej zagranicznej polityki oddała w ręce rosyjskiego cara, przyłączyły się ku zdumieniu Europy i ku zdumieniu samej Anglji, do akcji filoarmeńskiej i przyłożyły pozornie rękę do potężnego zamachu na Turcję. Znaczenie tej akcji od tej chwili musiało osłabnąć: sułtan wiedział, że Rosja i Francja nie biorą jej na serjo i dla tego okazał tyle niekarności, dla tego tak sobie lekceważył żądania ambasadorów i wszystkie projekty reform, dla tego pozwolił wzróść antyeuropejskiemu ruchowi, ażeby móc wobec Europy zasłonić się względem na niebezpieczeństwo, jakieby na niego mogło ściągnąć rzeczywiste przeprowadzenie reform. Potrzeba było nadzwyczajnej energji ambasadora angielskiego, aby zmusić Abdul-Hamida do formalnego ich zatwierdzenia: dzięki dwulicowej polityce Rosji upłynęło jednak tyle czasu, że ruch staroturecki stał się rzeczywistą potęgą i że sułtan na prawdę stał się bezsilny wobec rozstroju, jaki zapanował w jego państwie. I to właśnie, jak się zdaje, był główny błąd p. Nelidowa. Gdyby był nie zachęcał sułtana do oporu, zanadto licząc na jego skuteczność, reformy dawno stałyby się czynem, a uspokojenie Turcji udaremniłoby istotnie na razie głęboki plan lorda Salisburego.

Opór jednak był bezskuteczny; reformy zostały zaakceptowane, ale urzeczywistnić ich niepodobna: wzmagające się rzezie chrześcijan i rozprężenie wewnętrzne wytworzyły sytuację nieznośną i wywołały wypadek, który dla Rosji stał się potężnym szachem. Wypadkiem tym była inicjatywa hr. Agenora Gołuchowskiego, która stała się nagle pochodnią rozświetlającą poniekąd ciemności dla podstępnej polityki tak pożądane. Jednomyślność w akcji mocarstw i nieograniczone pełnomocnictwo dla ambasadorów! W razie przyjęcia tych propozycyj trzeba było porzucić myśl polityki dwuznacznej: p. Nelidow zdany na swój własny spryt stawał się bezsilny wobec większości swoich kolegów i schodził wobec nich na stanowisko trzeciorzędne. Ambasadorowie mogli go poprostu... przegłosować! Propozycyj takich Rosja przyjąć nie mogła: odrzucając je zaś całkowicie, oświetliłaby się jak należy.

Rokowania pomiędzy mocarstwami nie są jeszcze ukończone. Wiadomo jednak, że Rosja zajęła stanowisko odporne wobec najistotniejszych w rzeczywistości, chociaż podrzędnych z pozoru punktów propozycji. Że tak będzie, przewidywał zapewne hr. Gołuchowski. Czy przewidywał i to także, że Rosja znajdzie cichego sprzymierzeńca w łonie samego trójprzymierza? Czy przewidywał wahanie Niemiec, dodające odwagi i otuchy rosyjskim mężom stanu? Zapewne tak, skoro od czasu wojny chińsko-japońskiej polityka zagraniczna cesarza Wilhelma stawała się coraz dziwniejszą, coraz mniej obliczalną. W każdym razie pochodnia podniesiona ręką hr. Gołuchowskiego, rozpraszając nagle ciemności, ukazała zdziwionemu światu nowe ugrupowanie państw europejskich: po jednej stronie Austrja, Anglja i Włochy, po drugiej Rosja, Niemcy i Francja. Zdumienie było tak wielkie, że nic dziwnego, iż nastąpiła cisza w świecie europejskiej dyplomacji: trzeba się było zorjentować, rozejrzeć, namyślić, przygotować postanowienia. Czy ta cisza dobrze wróży dla europejskiego pokoju? Zapewne nie — ale sytuacja nagle stała się tak odmienną, że niczego przewidzieć nie można i trzeba czekać niespodzianek, które mogą być groźne, ale mogą także zaznaczyć się we wprost przeciwnym, pokojowym kierunku.

Baczność, bo stracimy Morskie Oko!

Wiedeń, d. 22 listopada.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

(δ.) Węgierski minister spraw wewnętrznych, Perczel, odpowiadał wczoraj, o czem telegraficznie donieśliśmy, na interpelację, wniesioną w Sejmie węgierskim z powodu węgiersko-galicyjskiego sporu o Morskie Oko. Jeśli to prawda, co węgierski minister powiedział, a o prawdzie słów jego nie ma najmniejszej przyczyny wątpić, przegramy sprawę z kretesem, dzięki — niezawisłości rządu austrjackiego wobec Węgrów. Z ust bowiem ministra Perczela dowiadujemy się, że Węgrzy przedłożyli nadzwyczaj cenny materjał dowodowy, że sprawa wskutek tego jest bliską załatwienia w sposób węgierskie interesy zupełnie zaspokajający, i że austrjaccy delegaci oświadczyli, i że będą *status quo* szanowali t. j. uznają węgierskie posiadanie Morskiego Oka.

Przed tygodniem mówił w wydziale budżetowym hr. Badeni o tej samej sprawie, dając tylko zapewnienie, iż spór o Morskie Oko wkrótce załatwionym będzie. Jest to zgodne zresztą z oświadczeniem węgierskiego ministra spraw wewnętrznych. Jak spór ten będzie załatwionym,

o tem bliższych szczegółów hr. Badeni nie podał. Wystarczyło to jednak, iż służalcy prasowi z tego powodu zapiali hymn pochwalny na cześć jego. Tymczasem pokazuje się z oświadczeń ministra Perczela, jak właściwie ta sprawa stoi. Należy więc w kraju uderzyć na alarm a to bezzwłocznie, inaczej przepaduie nam perła uroczych Tatr.

Ze względu na Węgry, albo raczej wskutek wpływu węgierskiego, niezatwierdzono wyboru dra Luegera — przegrana w sprawie Morskiego Oka jest tylko wynikiem logicznym zawisłości od Węgier. Co raz będzie piękniej. Jak sprawę odnowienia ugody z Węgrami rząd zdoła przy utrwaleniu się wpływu węgierskiego załatwić — łatwo sobie wyobrazić. Ugoda węgierska, pominąwszy stosunek kwoty 70:30 dotyka jak najnajżywiej interesów Galicji i bodaj czy główną przyczynę upadku gospodarczego Galicji nie stanowi nierzetelne współzawodnictwo Węgier. Pod tym względem wystarczy wskazać na manipulację węgierskich młynów, zabijających zupełnie galicyjski przemysł młynarski. Węgierskie młyny mielą głównie pszenicę z krajów bałkańskich sprowadzaną. Mąkę z niej uzyskaną wywożą za granicę, przyczem otrzymują zwrot cła zapłaconego za przywóz pszenicy. Dodać do tego taniość węgierskich taryf kolejowych, stojących w rażącej sprzeczności z drogiemi taryfami kolei austrjackich, które na kolejach państwowych mają być jeszcze podniesione, a nikt dziwić się nie będzie, iż w takich stosunkach Galicja z Węgrami współzawodniczyć nie może a to tem bardziej, iż przy zręcznej manipulacji żydowskich właścicieli młynów węgierskich, zwrot cła otrzymuje nietylko „bałkańska“, lecz także i oryginalna węgierska pszenica.

A przemysł naftowy! Rotschild przemycający zabarwianą rafinowaną naftę z Baku do Rieki, za opłatą cła od surowca, gdzie jego rafinerje łatwo i tanio oczyszczają ją z zabarwienia anilinowego. Czy to nie oszustwo karygodne, zadające galicyjskiemu przemysłowi naftowemu cios zabójczy? Ale Węgrom wszystko wolno: obsadzać we Wiedniu prezydenturę miasta, zabierać nam Morskie Oko. Niech żyje taka niezależność!

Żydzi i sprawa żydowska.

Bezpośrednie skutki wyzwolenia żydów.

II.

Obóz drugi utworzyła niewielka z razu gromadka żydów zamożniejszych, rozrzuconych w większych miastach Europy! Izraelicie bogatszemu, spragnionemu towarzystwa wykwintniejszego, sprzykrzyło się stanowisko wzgardzone.

Widząc, że chrześcijanie nie stronią od Mendelsohna i jego towarzyszów, że podają reformatorom chętnie rękę życzliwą, porzucili żydzi większych miast zardzewiałe tradycje „odrębności narodowej“, brzydki żargon i zewnętrzne rażące obyczaje i usiłowali zbliżyć się do reszty świata cywilizowanego. Zrozumiawszy, iż wykształcenie równouprawnia poniekąd towarzysko, zaczęli dzieci swe posyłać do szkół i uniwersytetów.

W ten sposób wytworzyła się w lat kilkanaście nowa warstwa społeczna, stanowiąca zawiązek t. zw. Polaków, Niemców, Francuzów, Anglików itd. wyznania mojżeszowego.

Proces ten odbył się w pierwszej połowie bieżącego stulecia bardzo łatwo i szybko, pomogła mu bowiem panująca powszechnie bezwyznaniowość, zwana oświeceniem. Żyd zamożny, rzucający tradycje religijne przodków, nie potrzebował się przymuszać do wiary innej. Jestem „oświeconym“ — odpowiadał na pytania ciekawe, a oświadczenie to wystarczało zupełnie.

Był to główny powód, dlaczego usiłowania takich: Gaus'ów, Zunz'ów i Moser'ów spełzły na niczem. Epigonowie „oświecenia“ *recte* materjalizmu i ateizmu encyklopedystów francuskich, nie żądali od nikogo wyraźnie określonego wyznania.

Dlaczegóż miałby się „oświecony“ izraelita starać o naprawę judaizmu, o uszlachetnienie ciemnych niechlujnych mas żydowskich? Cóż go mogła obchodzić owa „mumja narodowa“, spowita w dziwaczne formułki, trącące pleśnią wieków? Jemu szło jedynie o korzyści praktyczne, o stanowisko społeczne i towarzyskie, o wyzyskanie nowego położenia, nie zaś o jakieś cele idealne. On był na razie szczęśliwy, że pozbył się nadzoru synagogi i ciasnych, drobiazgowych przepisów talmudycznych, które krępowały jego ruchy, więc nie miał wcale ochoty wracać pod jarzmo innej wiary, czy chrześcijaństwa, czy zreformowanego judaizmu. Było mu najwygodniej z bezwyznaniowością.

Urzędowe równouprawnienie społeczno-polityczne, dokonane w główniejszych państwach Europy około r. 1850, zastało już cały legjon żydów „oświeconych“. W legjonie tym rozległy się oczywiście okrzyki radości. Wprawdzie zachęcano i przedtem żydów do pozbycia się dawnej skóry, ale prawo trzymało ich ciągle zdala od służby państwowej, od źródła władzy i znaczenia. Jeszcze Börne i Gaus, kompozytor Mendelsohn i Heine musieli się dla karjery ochrzcić. Przymus ten usunęła emancypacja.

I zawrzało w łonie „oświeconego“ Izraela.

Jak niegdyś po rewolucji francuskiej, tak ogarnęło żydów i teraz po r. 1850, chorobliwe, nerwowe pragnienie wpływu i znaczenia.

Zwyczajem przodków postanowili żydzi „oświeceni“ zapanować nad światem za pomocą złota. Więc rzucili się gromadnie na: szynki, dystylarnie, gorzelnie, handel zbożowy i drzewny, na lombardy i mniejsze domy komisowe, a doszedłszy w krótkim czasie do znacznych fortun, wtargnęli wielkiemi kupami do stolic europejskich i wypłynęli na szerokie, burzliwe morze spekulacyj grynderskich.

Francuscy żydzi, bracia Perëire, są początkodawcami gryndertswa europejskiego XIX wieku; francuski żyd Blanc założył osławione domy gry w Hamburgu i Monaco. Frankfurtscy żydzi, Rotszyldowie, podkopywali systematycznie bogactwo ludów chrześcijańskich zręcznie ukartowanemi „krachami“.

Drugą potęgą, której wielkie znaczenie w pogoni za władzą zrozumieli żydzi natychmiast, jest prasa, twórczyni opinji publicznej, kierowniczka nieswiadomych.

Dzienniki, wydawane przez żydów, wyrastały jak grzyby po deszczu. Izrael rzucił się z gwałtownością powodzi na wszelaką bibułę, narzucając za jej pomocą czytelnikom chrześcijańskim swoje pojęcia, wyobrażenia i cele. Do dnia dzisiejszego znajdują się trzy czwarte gazet berlińskich, wiedeńskich, peszteńskich, warszawskich i innych w ręku żydów. Niewiadomo komu się więcej dziwić: czy sprytowi Izraela, czy też naiwności chrześcijan, że podtrzymują własnemi pieniędzmi wrogie im piśmidła.

Dużo krzywdy wyrządziła prasa żydowska drugiej połowy bieżącego stulecia opinji publicznej, uczyniwszy z niej powolną sługę interesów Izraela.

Cały Izrael „oświecony“ przystał oczywiście do stronnictwa bezwyznaniowo-liberalnego, któremu zawdzięczał swoje stanowisko społeczne. Wszakże liberalizm to klaskał szyderstwom i bluźnierstwom Heinego, on to apoteozował odstępców żydowskich (Karol Gutzkow i inni).

Młody liberalizm europejski, dostawszy się w ręce żydowskie, stracił rychło swoje strony dodatnie. Z patrjoty i opiekuna maluczkich zamienił się wkrótce na kosmopolitę, materjalistę i samoluba, pracującego dla kapitału.

Dziennikarstwo żydowskie albo korzyło się wprost przed złotym cielcem, sławiąc jego zasługi, albo też usiłowało podkopać tradycje chrześcijańskie. W szermierce tej posługiwali się nie argumentacją, lecz błyskotliwym dowcipem semickim (*Witz*), wprowadzonym do literatury przez Heinego.

ZE ŚWIATA.

Wiedeń d. 22 listopada.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

Cesarzowa Elżbieta wyjeżdża w poniedziałek na zimowy pobyt do Cap Martin. Towarzyszy jej tylko jedna dama honorowa, hrabina Mikes, pierwszy koniuszy jener-major Berzeviczy i kilkoro służby. W miesiącu lutym uda się tam także cesarz i zabawi kilka tygodni.

Cesarz, wraz z arcyksiężną Marją Walerją był przedwczoraj w teatrze Karola, na przedstawieniu operetki Soupp'go „Model“. Przy wejściu, oczekiwał dostojnych gości dyrektor Janner i arcyksiężnej Marji Walerji wręczył piękny bukiet. Cesarz wysłuchał operetki do samego końca, i wykonawcom nie szczędził oznak uznania, a głównie paniom: Kopacsy, Zimayerowej, niemniej panom: Spielmanowi, Blaslowi i Bauerowi. O przebudowaniu i upiększeniu teatru wyraził się pochlebnie i rzekł, że był na to najwyższy czas. Gdy cesarz wracał do Burgu, zebrały się tłumy ludzi na ulicy i wznosiły okrzyki na jego cześć.

Z Elischau dochodzą bardzo niepokojące wiadomości i przypuszczać należy, że to już początek końca. Hrabia Taaffe zrobił testament. Majątek jego wynosi 1 miljon, guldenów; rozdzielił on go na cztery równe części między swoje dzieci.

Panna Matylda Zöchling jest bardzo ładną a przytem sprytną suberetką, w jednym z teatrów wiedeńskich. Przed kilku dniami odebrała bilecik w którym baron Erlanger, znany bankier, prosi o pozwolenie złożenia jej wizyty. Artystka zgodziła się chętnie i nazajutrz zjawił się w jej mieszkaniu elegancki młodzieniec, ze złotym monoklem w oku, ubrany według ostatniej mody. Panna Zöchling znała z widzenia barona Erlangera, zdziwiła się zatem, widząc innego mężczyznę. Młodzian zauważył pewne zaniepokojenie, lecz z miną wielkiego pana rzekł:

— Pani pewno znasz mego starszego brata?

— Tak panie, jakkolwiek nie osobiście.

— Ja bywam bardzo rzadko w Wiedniu i dlatego widzimy się po raz pierwszy.

W toku rozmowy, baron Erlanger rozwinął niemało dowcipu i znajomości wielkiego świata. Artystka była oczarowana.

— Jaki masz pani piękny pierścionek brylantowy! Proszę mi go pokazać. — Bawiąc się nim, włożył go na swój palec.

Przy pożegnaniu wyjął ogromny pugilares i lekceważąco odezwał się do artystki:

— Zapomniałem pieniędze w domu, a nawet zegarek. Nie mam czem dorożki zapłacić.

— Mogę panu baronowi służyć. — Ten nie dał się prosić i zabrał całą gotówkę, w kwocie 135 złr., a także i zegarek z dewizką. Pożegnał się serdecznie i obiecał przyjść na drugi dzień. Artystka zapomniała odebrać pierścionek. Gdy nazajutrz baron się nie zjawił, napisała grzeczny bilecik do pana Erlangera, żądając zwrotu kosztowności i pieniędzy. Naturalnie wykryła się mistyfikacja, artystka bowiem padła ofiarą wyrafinowanego oszusta. Baron Erlanger nie ma brata, a jakiś sprytny złodziej, ukrył się pod jego nazwiskiem. Policja poszukuje rzezimieszka, lecz dotąd nie wpadła na jego tropy.

„Tokio“ znowu został pobity w Anglji i znowu przyszedł bez miejsca. Wraz z „Medicis“ był faworytem i fachowi sportsmeni przypuszczali, że tym razem odniesie zwycięstwo. Na giełdzie wyścigowej notowano go najwyżej, gdyż w stosunku 1 — 3. Tymczasem przyszła pierwsza do mety klacz „Lavdamia“, na którą stawiano w stosunku 1 — 25. Należy ona do sir Fultona. Drugim był koń lorda Cadagan "Court Ball", a trzecim „Redheart“, należący do pułkownika Northa. Nagroda wynosiła około 44.000 koron i dar honorowy, wartości 5000 koron. A zatem „Tokio“ stracił urok i za powrotem do Austrji będą już na niego patrzyli innem okiem. Znawcy utrzymują, że koń jest zanadto znużony, gdyż od kwietnia ciągle biega i po kilkomiesięcznym odpoczynku znowu będzie groźnym współzawodnikiem. Inni zaś twierdzą, że zaszkodził mu wilgotny klimat angielski, co jest dość prawdopodobnem. W każdym razie „Tokio“ powraca z niczem, a właściciele wydali masę pieniędzy bezpotrzebnie, a przytem się skompromitowali.

W Wenecji wiedeńskiej, będzie urządzona w czasie zimy wielka ślizgawka na lagunach. Dyrekcja chce tam zaimprowizować kilka restauracyj i kawiarni, opatrzonych dobrze mchem i opalanych piecykami gazowemi. Przytem mają się odbywać koncerty wieczorne. Przepowiadają, że ślizgawka wenecka będzie znowu miała wielkie powodzenie.

W teatrzyku Ronachera, pantomina zatytułowana: „Małpy i farmer“, oraz siastry Barrisson, ściągają tłumy publiczności. Tak świetnego powodzenia, zakład ten dawno nie pamięta.

W Wiedniu panuje tyfus brzuszny. Co prawda, straszna ta choroba epidemiczna nie silnie się rozszerza, ale w październiku fizykat miejski notował 62 wypadków, gdy tymczasem w lutym było tylko 7, a w czerwcu 17. *Swój.*

Paryż d. 20 listopada.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

Zwykle każdy nowy gabinet zaczyna swoje rządy od zmiany prefektów. Tak się stało i teraz. Wielu z nich usunięto, kilkunastu przeniesiono, a ich miejsca zajęli zwolennicy nowego systemu. Podprefektem w Argelès został były pastor Reyss. Z pastora, na urzędnika administracyjnego, skok to nie lada, ale dawny pasterz owieczek luterań-

skich, nie miał innego punktu wyjścia. Piastował on urząd pastora w małem miasteczku, a że pożerała go chęć wyniesienia się i zabłyszczenia na świecie szerokim, więc gdy zawakowało miejsce w Bordeaux, postawił swoją kandydaturę i na zebraniu wiernych wygłosił porywające kazanie. Zgromadzeni byli w ekstazie i obdarzyli go przeciągłemi oklaskami. Tylko koledzy potrząsali głowami, gdyż zdawało się im, że już gdzieś słyszeli podobne kazanie. Zaczęli szukać i wreszcie znaleźli, że ich towarzysz powtórzył słowo w słowo kazanie znakomitego mowcy i pastora paryskiego Dhombresa. Po tym skandalu, szanowny Reyss pożegnał się z karjerą duchowną. Ale bogowie nad nim czuwali. Jeden z jego kuzynów jest przyjacielem pana Bourgeois, a to wystarczyło, żeby dziennik urzędowy ogłosił kilka dni temu, nominację Reyssa na podprefekta. Nigdzie tak protekcja nie jest rozwielmożnioną, jak pod rządami republikańskiemi we Francji. Zanadto władców a każdy z nich ma swoje kółko znajomych i dobrych przyjaciół.

Wczoraj odsłonięto pomnik Emila Augier'a na placu Odeon. Minister oświaty Combes wygłosił piorunującą mowę przeciwko zastarzałemu konserwatyzmowi, kościołowi i wszystkim dawnym urządzeniom społecznym. W zapale zawołał: „Ludzkość pójdzie teraz nowemi drogami światła i cywilizacji! Nie uznajemy dawnego strupieszałego porządku i potrafimy stworzyć nowe podstawy do rozwoju idei humanitarnych". Pan Combes, jako wolny mularz, podobne przemowy miewał często w loży masońskiej, przy ulicy Cadet. Bracia bardzo go szanowali i wynieśli na najwyższe szczeble swojej hierarchji. Tam można też było perorować na temat nowych idei, ale mąż stanu powinien liczyć się ze słowami. Wiemy dobrze, jakie to są nowe drogi, po których chcą postępować socjaliści i anarchiści, a owe idee humanitarne, to walka przeciwko posiadaczom, grożąca ruiną ekonomiczną i zniszczeniem ogólnego dobrobytu.

Zmarł tutaj nagle książę Józef Lubomirski. O patrjotyzm wielki nie można go było posądzać, bo gdy utracił znaczną część majątku, zabrał się do pióra i wydał cały szereg powieści i obrazków zaczerpanych z życia rosyjskiego. Dość przytoczyć: „Wspomnienia pazia cesarza Mikołaja", „Sceny z życia wojskowego w Rosji", „Rosjanie w Samarkandzie", „Urzędnicy i szlachta", „Wesele rosyjskie w XVI stuleciu", „Z rozkazu cara", „Car, arcyksiężna i burgraf" i t. d. Gdy się ożenił z wdową Boyer, przestał pisać. Większą część roku przepędzał zawsze w Nicei, gdzie się zaliczał do najruchliwszych członków komitetu zabaw. Był kawalerem Legji honorowej. Przedwczoraj jechał dorożką przez bulwar Haussmanna. Naprzeciw ulicy Taitbout, ktoś zawołał: „Umarły w powozie!" Dorożkarz zatrzymał konie. Kilka osób nadbiegło i przeniosło księcia do apteki Vicario. Wszelka jednak pomoc okazała się nadaremną. Doktor sprawdził tylko atak apoplektyczny. Książę Lubomirski mało żył z Polakami i wcale nie przepadał za naszą narodowością. Po ożenieniu się posiadał ogromną fortunę, ale mimo to żył zawsze skromnie.

Tutejsza prasa rzuciła się na wiceadmirała Gervais, z powodu osadzenia na mieliznie trzech okrętów z jego eskadry. Doniosła nawet, że otrzyma dymisję. Tymczasem wiadomości nadeszłe z Tulonu, zupełnie inaczej fakt ten przedstawiają, okazuje się bowiem, że wiceadmirał nie w tem nie zawinił. Prefekt morski w Tulonie, admirał Brown de Colstoun, wysadził komisję do zbadania przyczyn i ta dopiero osądzi, kto był sprawcą niefortunnego wypadku.

K. W.

Część urzędowa.

Mianowania. Ministerstwo skarbu zamianowało w służbie utrzymywania ewidencji katastru podatku gruntowego, starszego geometrę ewidencyjnego 1 klasy Marjana Głaczyńskiego,, inspektorem ewidencyjnym w VIII klasie rangi.

Lwowski wyższy sąd krajowy nadał Grzegorzowi Dzundza, kanceliście sądu obwodowego w Samborze, opróżnioną przy sądzie obwodowym w Samborze posadę zarządcy więzień.

Dr Władysław Pilat, docent prywatny politechniki lwowskiej, zamianowany został nadzwyczajnym profesorem ekonomji społecznej, nauk prawniczych i administracji prawa przy lwowskiej politechnice.

Roman Ingarden, starszy inżynier w gal. służbie budowlanej, zamianowany został starszym inżynierem w ministerstwie spraw wewnętrzynch.

Stefan Repta, profesor gimnazjalny w Czerniowcach, zamianowany został dyrektorem gimnazjum w Suczawie.

(*Gazeta lwowska* nr 270.)

FEJLETON

NADZWYCZAJNE PRZYGODY PANA CHORĄŻYCA.

52 POWIEŚĆ ORYGINALNA

Leonarda Sowińskiego.

(Ciąg dalszy).

I nagle, niewiadomo dlaczego, przez skojarzenie wspomnień i rojeń tajemniczych, stanęła Chorążycowi w myśli pierwsza jego miłość, ukochana Anusia. I ona miała głos podobny i ona porywała go niegdyś melodyjnym swym śpiewem w przestwór nadziemski, w bezmiar niewypowiedziany czystej, jak żywot anielski rozkoszy.

Po zamówieniu kilkunastu mszy za dusze rodziców, Chorążyc, rozrzewniony do głębi serca, wrócił do zamku. Po chwili wszedł Oksza na czele dwóch niedorostków, niosących kawę i ciasto.

— I cóż, wymodliłeś się, Chorążycu? Wyspowiadałeś się? — zawołał, zacierając ręce.

— Dzięki Bogu i pomodliłem się i wyspowiadałem się.

— A ty, Bezrodny?

— Ja nie spowiadałem się, panie pułkowniku; nie byłem przygotowany dostatecznie — odpowiedział Semen dosyć markotnie.

— To źle... młody jesteś i dlatego ci jeszcze pstro w głowie... ale to nic... później się wyspowiadasz. A teraz pijcie kawę... ja natychmiast muszę iść do komendanta. Czy nie masz co, Chorążycu, jakich zleceń do niego?

— Czy nie będzie to za śmiałem z mej strony, jeżeli go poproszę o zasilenie mnie książkami do czytania? Jenerał jest tak dobry...

— Ale przeciwnie zrobi mu to wielką przyjemność. Posiada on bibljotekę bardzo bogatą i lubi udzielać książek tym, którzy je czytują. Tylko że on sam więcej się kocha w dziełach poważnych, niż krotochwilach.

— I ja podzielam w tym względzie upodobanie jego.

— A o jakież ci książki chodzi?... o łacińskie, czy polskie? wszak łacinę musisz znać expedite?

— Nietylko łacinę, ale i francuski i włoski język rozumiem, może więc jenerał w wyborze się nie krępować.

— Oho! lingwista z ciebie, jak widzę. Coby to powiedzieli na to łyki, którzy cię wzięli za Wowczaka!... Dobrze... przełożę twą prośbę komendantowi. Za godzinę będziesz miał całą pakę drukowanej mądrości.

Po wyjściu Okszy, Chorążyc znowu wpadł w rozmarzenie, którego źródłem był śpiew, posłyszany w kościele.

— Tak... to jej głos — myślał. — Byłażby to ona?... Bóg wie, co robi... Anusia najpewniej poszła za przykładem Zosi i dzisiaj, otoczona dziatwą, uszczęśliwia któregoś z dawnych znajomych moich. Niech Pan Bóg ma ją w swojej opiece.

Wkrótce zjawił się posłaniec od komendanta ze sporą paką książek. Były pomiędzy niemi polskie, francuskie, włoskie, a nawet parę łacińskich. Wybór odznaczał się rozmaitością wielką. Na Skardze leżał Molier, na Hejdensztejnie Tasso.

Zatopiony w myślach, do których wątku dostarczyło mu wspomnienie dawnej jego bogdanki, Chorążyc z roztargnieniem przerzucał kartki rozłożonych przed sobą książek, kiedy we drzwiach ukazała się poważna postać Efraima.

Po pozdrowieniu, tchnącem, jak zwykle, patrjarchalnem namaszczeniem, stary izraelita przemówił z uśmiechem:

— Teraz pan Chorążyc wygląda, jak przystało na pana.

— Dzięki panu Efraimowi — dokończył pan Antoni. — Zadłużyłem się panu nie na żarty. Ale usiądźcie, proszę... pogwarzymy sobie.

Przychodziła mu i przedtem myśl zasięgnięcia od sędziwego kupca wiadomości o rodzinie Stolnika.

Postanowił ją teraz wprowadzić w wykonanie. Zaczął od zapytania:

— Mieliście, panie Efraimie, stosunki ze wszystkimi prawie zamożniejszymi ziemianami Podola. Musieliście znać i pana Stepnowskiego z Zielonej Góry... Stolnikiem go tytułowano.

— Spotykałem się z nim od czasu do czasu, ale stałych stosunków nie miałem — odrzekł Efraim. — On prowadził handel z Mejrem Winnickim.

— Czy żyje jeszcze?

— O, nie... dawno już umarł. Zieloną Górę objął w spadku zięć jego, pan Sabbatyn, ale i z tym nie mamy interesów. Słyszałem tylko ze strony, że obywatel to zacny i sprawiedliwy.

Wiadomość ta nie była dla Chorążyca żadną niespodzianką, a przecież go pognębiła.

— Znałem Sabbatyna za młodu — odezwał się po chwili — zapewne ożenił się ze starszą panną Stepnowską, Anną.... Stolnik miał cztery córki.

— Nie mogę dodać nic więcej do tego, co powiedziałem. Stolnika znałem bardzo mało, a z panem Sabbatynem synowie i wnucy moi handlu nie prowadzą.

Pan Antoni pozostał w niewiadomości o losie Anny, a raczej w przekonaniu, że dzisiaj już jest ona panią Sabbatynową. Myśl ta wtrąciła go w smutną zadumę.

— Bezpowrotnie stracona dla mnie — powtarzał w duchu. — Ale cóż mię to obchodzić może?... Wszak i ja mam ręce związane... A jednak...

Widmo Angioliny przesunęło się przed jego oczyma. Przypomniał sobie słowa kapłana, słyszane dziś u spowiedzi: — „Jeżeli uległa przemocy, jeżeli wiary nie zmieniła, nie możesz się uważać za swobodnego, lecz jeśli rzuciła cię dobrowolnie, jeżeli się sturczyła, kościół unieważni małżeństwo wasze.

— I na cóżby to się zdało — szepnął z głuchem westchnieniem.

Cały dzień milczał posępnie, udając przed Semenem zaczytanie się w książkach. Zasnął zaledwie o północy, ukołysany śpiewem anielskim, który słyszał w kaplicy, a który nieustannie brzmiał mu w duszy z ułudą niczem prawie nieróżniącą się od rzeczywistości.

Nie mamy potrzeby nadmieniać, że i nazajutrz upajał się on czarującym tym głosem i że znowu rozmarzony i tęskny wrócił do mieszkania swojego.

Z pognębienia tego wyrwał go Oksza, który około południa wleciał doń na podobieństwo bomby. Za nim dwaj żołnierze nieśli pakunki jakieś.

— Cha cha, cha! zuch nasz komendant! — zawołał, dusząc się od śmiechu, aż mu twarz posiniała. — Macie tedy pakunki wasze, a oto pieniądze — dodał, wydobywając z zanadrza trzos Chorążycowy. — Wydarł im, łykom z gardła... najtrudniej im było rozstać się z dukatami... prawili coś o kaucji i djabli wiedzą o czem. Na szczęście dzisiaj nad rankiem przyprowadzono im znowu Wowczaka, i to nie jednego, lecz dwóch odrazu. Przekonali się kpy, że trzeci nabawiłby ich tylko troski niepotrzebnej i zdecydowali się nareszcie pozbyć się go razem ze wszystkiem, co jego jest, na barki jenerała. Cha, cha, cha, cha!

I znowu śmiał się do rozpuku z łyków i łacibutów ciemnych. Wtórowali mu szczerze podkomendni, których Chorążyc pospieszył wynagrodzić hojnie za trud poniesiony.

Chorążyc, uradowany odzyskaniem pamiątek, które uważał za stracone, zaraz po wyjściu uczęstowanego suto majora, rozpoczął ich przegląd. Znalazło się wszystko, choć w niezbyt wzorowym porządku. Pamiątki po rodzicach rozrzewniły go więcej, niż kiedykolwiek przed tem, wiedział już bowiem z pewnością, że tych, od których pochodziły one, oddzieliła od niego warstwa ziemi cmentarnej. Z przejmującem uczuciem, przymglonemi od łez oczyma, spoglądał na rękawiczkę, która niegdyś obejmowała rączkę Anusi, należącą dzisiaj do kogo innego. Zaprawdę, wszystko to już były skarby pogrobowe.

Nazajutrz i dni następnych w życiu Chorążyca żadna zmiana nie zaszła. Codziennie chodził do kaplicy, wynosząc z niej upajający aromat wspomnień uroczych, który nań spływał ze śpiewem nieznanej zakonnicy; codzień godzinami całemi tonął w marzeniach tęsknych, rozrywając się jedynie czytaniem „Jerozolimy wyzwolonej", albo od czasu do czasu roztargnioną rozmową ze sługą wiernym, który i sam wzorem pana skwaśniał niepospolicie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CO ŻYCIE NIESIE.

UWAGI.

Dobre przestrogi na życia drogę dawała mi nieboszczka matka moja, gdy wysyłając mnie w świat, mówiła:

— Nie garń się zanadto do panów, bądź z nimi ostrożny, bo to ludzie kapryśni! Z panami rzadko — z hołotą nigdy!

Jeśli kiedy, to teraz przekonałem się, jak głeboka prawda mieściła się w tych słowach. Blisko przez dwa lata starałem się o względy sympatycznego starowiny magnata z ulicy św. Tomasza; przez cześć dla jego rozumu, nazywałem go zawsze *Tempusiem*, przez szacunek dla jego zasług, nie wszczynałem z nim nigdy polemiki, słowem byłem mu oddany sercem i duszą. A on za to jak mi się wywdzięczył! Ledwie jeden z jego koryfeuszów powziął zamiar zbawienia Austrji przy pomocy żydowskich liberałów, zaraz *Tempuś* jął dąć w dudkę ministerjalną i dla przypodobania się nowo wschodzącej gwieździe, nas wszystkich, którzy z żydami walczymy, a więc tak dobrze mnie, jak ks. nuncjusza Agliardiego, a nawet samego papieża Leona XIII, nazwał społecznymi podpalaczami. Od tego czasu *Tempus* wygrywa swoją arję serwilistyczno-rządową na tony rozmaite, a ja w mojej izdebce ciężko wzdychając, przypominam sobie przestrogi matki nieboszczki i stare polskie powiedzenie, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ...

Ale ponieważ w każdej rzeczy złej, jest jakaś tam odrobina dobrego, więc i w teraźniejszem mojem utrapieniu, przynajmniej to mnie pociesza, że nie krępując się więcej żadnemi względami, mogę teraz śmielej, niż kiedykolwiek, mówić *Tempusiowi* prawdę w oczy. A więc zacznijmy.

Żadną miarą nie mogą ludzie zrozumieć, czemu *Czas*, który ma tyle słów uwielbienia dla hr. Badeniego, rzadko kiedy wspomina o hr. Gołuchowskim, a jeśli to czyni, to chyba półgębkiem, jakby z przymusu, chociaż pierwszy nawarzył dopiero piwa, którego nikt pić nie chce — gdy przeciwnie drugi w sprawie wschodniej, wybił się już na czoło swoich kolegów europejskich i w koncercie wielkich mocarstw na pierwszych wygrywa skrzypcach. Pozwólcie państwo, może tę ciekawą zagadkę uda mi się rozwiązać.

W ciągu ostatniego piętnastolecia, tak w Galicji samej jak w Austrji a nawet po za jej granicami utarło się przekonanie, że wszystko, co dobrego Polacy mają w państwie Habsburgów, zawdzięczają tak zwanej partji krakowskiej, której *Czas* jest organem. Jest że tak rzeczywiście? Bynajmniej! Któż więc to w ludzi wmówił? Partja krakowska sama i jej organ, że zaś inne dzienniki galicyjskie błędu nie sprostowały, więc ludzie wzięli przechwałki za prawdę i autorów „Teki Stańczyka" poczytują za istotnych twórców teraźniejszej polityki polskiej w Austrji. Tymczasem wzuchwałem tem twierdzeniu nie ma ani krzty prawdy.

Galicja wszystko co zdobyła i co dziś posiada, zawdzięcza jednemu tylko Agenorowi hr. Gołuchowskiemu, który na trzy zawody był namiestnikiem w naszej prowincji. Partja krakowska, która po nim spóściznę odziedziczyła, to słaby uczeń tęgiego nauczyciela, to karzeł wobec olbrzyma, to tuzinkowa kopja wielkiego oryginału.

Polityka Agenora Gołuchowskiego da się streścić w kilku słowach:

„Wzbudzić w cesarzu zaufanie, oprzeć się o niego i przy jego pomocy uzyskać jak najwięcej zdobyczy dla Galicji, byśmy tu, pod opieką berła Habsburgów mogli jak najpomyślniej utrzymywać i krzewić naszą narodowość".

Czy partja krakowska umiała zdobyć się na coś rozumniejszego?

Gołuchowski, w myśl swojego programu, zaczął działać i dzięki bezgranicznemu zaufaniu, jakie cesarz w nim pokładał, uzyskał dla Galicji: 1) Wydalenie urzędników Niemców; 2) Język polski w szkołach, w sądownictwie, w urzędach i na Uniwersytecie; 3) Radę szkolną krajową i wiele innych rzeczy mniejszej wagi.

Czy partja krakowska uzyskała choć jedną zdobycz, któraby z powyższemi mogła stanąć na równi? Ani jednej... Za to umiała ona swemi figurami obsadzać wybornie wszystkie te stanowiska, które Gołuchowski dla narodu wywalczył. I taka też między niemi zachodzi różnica, że gdy Gołuchowski pracował dla Polski—partja krakowska myśli tylko o sobie. Wiem, że moje słowa mają smak gorzki — lecz mimo to myśl w nich zawarta nie przestaje być prawdą...

Jak długo śp. Gołuchowski żył, o partji krakowskiej nikt nie słyszał — namiestnik sam trzymał jej członków na sto kroków od siebie, a u p. Stanisława Koźmiana mądrych rad politycznych nigdy nie zasięgał. Wątpię nawet, czy z nim kiedykolwiek rozmawiał o polityce... Za to gdy Gołuchowski umarł, a na jego miejsce przyszedł hr. Alfred Potocki, który do końca swego urzędowania nie mógł zrozumieć, jaka może zachodzić różnica między Dyrekcją skarbową a Prokuratorją skarbu (autentyczne) dopiero od tego czasu partja krakowska naprzód się wysuwa i w łatwowiernych wmawiać zaczyna, że to ona w Galicji Polskę buduje. I cóż otrzymaliśmy za jej rządów? Jednę Akademję Umiejętności. Lecz czy ta zdobycz może iść w porównaniu z tem, co osiągnął Gołuchowski? Nie przeszkadzało to jednak *Czasowi* utrzymywać, że jego stronnictwo politykę Polski na jakieś nowe wprowadziło tory a twierdził to nawet wtedy, gdy przez niedołęstwo tegoż stronnictwa utraciliśmy prawo wybierania z łona Sejmu delegacji do Wiednia i gdy uszczuplono zakres działania Rady szkolnej, której minister odjął prawo mianowania profesorów szkół średnich. Oto zdobycze partji krakowskiej.

Ponieważ mam dobrą pamięć, i wszystko, com wyżej napisał, polega na prawdzie, więc teraz chyba łatwo zrozumiemy, dla czego *Czas* jest z takiem uwielbieniem dla hr. Badeniego, o którym z naciskiem powtarza, że ten jest uczniem jego szkoły, a tak obojętnie wspomina zawsze o dzisiejszym hr. Gołuchowskim, który, jako syn zmarłego namiestnika, jest wychowańcem zupełnie innej, a przedewszystkiem własnej, oryginalnej szkoły politycznej.

* * *

Tydzień temu spędziłem jeden dzień we Wiedniu. Czasu miałem mało, zajęcia wiele, więc też nie widziałem tych wszystkich, z którymi mówić pragnąłem, ale mimo to powiedziano mi rzecz jedną, która tam jest powszechną tajemnicą, a którą muszę dziś powtórzyć moim czytelnikom, gdyż jest ona równie zabawna, jak pouczająca.

Oto gdy hr. Agenor Gołuchowski, którego arcymądre stronnictwo krakowskie przedtem wcale w rachubę nie brało, został nagle powołany na stanowisko ministra spraw zagranicznych, wówczas na podwórku krakowskiem zrobiło się zamięszanie. Bo jakmógł cesarz wyrządzić autorom „Teki Stańczyka" tak wielką przykrość, że bez ich zezwolenia, nawet bez ich wiedzy, a w brew ich woli, powołał na tak wybitne stanowisko człowieka, który do ich obozu wcale nie należy, i z nimi prawie się nie znosi! Zresztą, lękali się oni wielce, by nowy kanclerz nie palnął przypadkiem jakiego głupstwa, a stać się to mogło łatwo, skoro nie pytał ich o radę i widocznie trzymał się polityki własnej, nie zaś krakowskiej...

Aby tedy ratować sytuację i nie dopuścić do jakiego błędu, wielcy owi mężowie stanu wysłali do Wiednia najtęższą swoją głowę, tę samą, która z łamów *Czasu* strzela do antysemitów grubym ciceronem i ta przyjechawszy do Wiednia, udała się na Balplatz, aby niedoświadczonemu kanclerzowi udzielić mądrych rad, zbawiennych przestróg i praktycznych wskazówek.

Hr. Gołuchowski przyjął wysłannika, gdy zaś ten zaczął mówić, słuchał go w głębokiem ducha skupieniu. Wysłannik popuściwszy wodze wenie krasomówczej, wypowiedział wszystko, z czem przyjechał, a gdy skończył, kanclerz państwa austrjackiego miał minę, jakby chciał jeszcze dalej słuchać.

— Więc cóż mi na to powie Wasza Ekscelencja? — wysłannik ośmielił się nareszcie zapytać.

— Nic zgoła — odpowiedział hr. Gołuchowski.

— Nic?... Sądzę, że gdybyśmy się nawzajem wyrozumieli, wiedziałbym, co dalej w *Czasie* pisać...

— O! to mi jest zupełnie obojętnem... *Czas* może pisać, co mu się podoba...

Tableau!

* * *

Skoro jestem już przy rodzinie Gołuchowskich, o której dopiero bezstronna historja kiedyś powie, czem właściwie ona była dla Galicji przeto pozwólcie, bym jeszcze opowiedział jeden szczegół, rzucający bardzo charakterystyczne światło na postać największego namiestnika, jakiego dotąd miała Galicja.

Był czas, że zdawało mi się, iż w epoce porozbiorowej, największym politykiem polskim był Wielopolski. Gdym to raz powiedział Władysławowi Niegolewskiemu, który, jak wiecie, był głową Wielkopolski, ten z właściwą sobie porywczością odrzucił:

— Mylisz się pan! Wielopolski był myślicielem, filozofem, ale nie politykiem, bo on umiał program ułożyć, lecz nie potrafił go wykonać. Prawdziwym politykiem był jeden Gołuchowski, ten bowiem wszystko, co ułożył, acz miał wielkie trudności do zwalczenia, szczęśliwie przeprowadził.

Któż nie przyzna, ze Niegolewski miał rację?

A jaki z Gołuchowskiego był polityk wytrawny, jak nie miał w sobie nic miłości własnej, jak umiał stać na stanowisku bezstronnem, o tem przekonałem się przy następującej sposobności.

Razu pewnego byłem u namiestnika z p. Ksawerym d'Abancourtem, ojcem teraźniejszego posła ziemi żydaczowskiej. Ponieważ właśnie dnia poprzedniego, *Dziennik Polski*, którego byłem właścicielem, został skonfiskowany za fejleton Jana Lama, w którym znakomity nasz humorysta zaczepił był w sposób niewłaściwy dwór cesarski, przeto hr. Gołuchowski, wśród rozmowy, dotknął tego przedmiotu i żywo zawołał:

— Ależ, panowie, czego wy chcecie od cesarza? Bijcie ministrów, mnie, cały rząd, ale cesarzowi dajcie pokój, bo jemu wszystko zawdzięczamy, tylko on nas podźwignie i wzmocni.

Dotknięty temi słowy, gdyż nie spodziewałem się, że namiestnik będzie mówił o tej sprawie, odrzuciłem:

— Zdaje mi się Ekscellencjo, że wobec *Gazety lwowskiej*, która pod redakcją p. Władysława Łozińskiego, stała się dziś najbardziej rozpowszechnionym organem, głos *Dziennika Polskiego* nie ma najmniejszego znaczenia...

Gołuchowski rzucił się na to:

— Dokładałem starań, — rzekł — żeby *Gazetę Lwowską* ulepszyć, lecz czy pan myślisz że chcę, by ją wszyscy czytali? Ależ Boże chroń! Wszak gdyby to nastąpiło, świat musiałby zgłupieć*), bo przecież *Gazeta Lwowska* tylko to może pisać, co rząd sobie życzy. Niech więc będą dzienniki niezawisłe, nawet opozycyjne, byleście cesarzowi dali pokój, bo to nasz dobroczyńca!

Zapytuję teraz, czy hr. Stanisław Tarnowski wzniósłby się do takiej samej bezstronności i czy równie szczery sąd wydałby o *Czasie*, który dziś jest organem ministerjalnym, a więc rządowym, tak samo jak *Gazeta Lwowska*?

O! wierzcie mi, o rozumnego męża stanu w Polsce nie łatwo!

Kraków dnia 23 listopada. *Verax.*

Tajemnice gry w Monaco.

(Odkrycia krupiera z Monaco).

Gdzie się zaczyna namiętność, tam kończy się zdrowy rozsądek. Każdy wie, że nie ma takiej gry, w którejby wszyscy wygrywali — ktoś przegrać musi. Kto? W Monte Carlo którego tajemnice zna bardzo niewielu, wygrywać musi bank, czyli spółka bandytów, utrzymująca się szulernią, przegrywać musi publiczność naiwna i lekkomyślna. Bogaty i ubogi rzuca nieraz całe swe mienie, ostatni grosz na stół rulety, która pochłonęła już i pochłania ciągle tyle ofiar z mienia, honoru i życia ludzkiego!

Dom gry w Monte Carlo przynosi właścicielom, czyli wspomnianej już spółce bandytów, 40 miljonów franków rocznego dochodu. Olbrzymią tę sumę przegrywają zatem cudzoziemcy, pomiędzy którymi niestety Polacy zbyt często się trafiają.

Sumą tą dzielą się: członkowie spółki i książę panujący, Monaco, którego poddani nie znają wcale podatków, gdyż koszta administracji i reprezentacji, wszelkie wydatki państwa opłaca lekkomyślna publiczność.

Oby ten głos uczciwego krupiera (tak nazywają się urzędnicy domu gry, przeznaczeni do

*) S. p. Gołuchowski użył nawet tego samego wyrażenia. (*Przyp. Autora*).

zgarniania przegranych sum ze stołów do kasy banku) był przestrogą dla innych!

Tłómacz.

I.

Na zegarze w Monte-Carlo wybiła godzina dwunasta, wchodzimy do sali i każdy z nas zajmuje swoje miejsce przy stołach.

Ja biorę grabki do ręki i rozpoczynam swoje rzemiosło, zgarniając na korzyść banku pieniądze cudze... pieniądze, które kosztowały wiele pracy, trudów, oszczędności, a może i łez!

O, jakże wstrętnem jest rzemiosło krupiera!...

Chateaubriand miał słuszność, mówiąc, że istnieje jeszcze wstrętniejsze rzemiosło od rzemiosła kata... to jest rzemiosło pomocnika kata!... Czyż nie jesteśmy pomocnikami kata, naszego szefa, który zamiast nazywać się dyrektorem domu samobójców w Monte-Carlo, używa niewinnego tytułu dyrektora Towarzystwa kąpieli morskich w Monaco, z których żaden obcy nie korzysta, wyjąwszy, gdy się chce utopić?

Dawniej piraci w Monaco rabowali na morzu okręty. Teraz my rabujemy w sposób daleko bardziej elegancki... w złoconych i wyperfumowanych salach, przy dźwiękach muzyki, wszystkich obcych, którzy się udają z zaufaniem do kasyna.

Hańba naszego szefa spływa i na nas, to też gdy się znajduję po za granicami Monaco, myślę, że wszyscy pokazują mnie palcem, mówiąc: Oto krupier z Monte-Carlo, oto pomocnik kata... a tymczasem ja chciałbym się bronić, odpowiadając, że jeżeli ja jestem pomocnikiem kata, to uprzywilejowanym przez księcia Monaco, co więcej, jestem protegowanym przez Francję, bo przecież w każdej geografji popularnej czytać można: W departamencie Alp Morskich znajduje się księstwo Monaco, które jest pod protektoratem francuskim... ale nie dodano, że także i... jaskinia gry w Monte-Carlo... ale to się rozumie, więc... jesteśmy protegowanymi przez Francję!

Mimo to ja jestem człowiekiem, jak każdy inny, a nawet uczciwym człowiekiem, gdyż mam odwagę pisać te słowa na użytek publiczny, narażając się na utratę mojej posady, przynoszącej mi 500 franków na miesiąc... i ryzykuję wszystko, aby wam być użytecznym. Idzie o kwestję społeczną, która obchodzi wszystkich wielkich i małych, bogatych i ubogich.

Pan Thiers, broniąc zasady republikańskiej, powiedział pewnego dnia na zgromadzeniu narodowem: „Wszyscy uczciwi ludzie opuszczą salę... inni pozostaną". Ja zaś (nie porównywując się z p. Thiersem) powtarzam: „Wszyscy uczciwi ludzie usłuchają rad moich... inni... będą zgubieni!"...

Zanim wam zakomunikuję moje rewelacje o grze w Monte-Carlo, muszę wpierw objaśnić okoliczności, które mnie skłoniły do napisania tychże.

Pewnego dnia, około 3 godziny popołudniu, usiadła obok mnie przy stole rulety jakaś dama elegancko ubrana, którą pierwszy raz dopiero widziałem w kasynie. Jej mąż grał w „trente-et-quarante"; ona zaś chciała trochę się rozerwać, nie mając zamiaru ani wygrać, ani przegrać.

Wyciągnęła z kieszeni pugilaresik, wzięła dwa banknoty po 100 franków, zmieniła je, otrzymała 40 monet pięciofrankowych i zaczęła grać, za każdym razem wygrała numer *en plein* i otrzymywała 35 pięciofrankówek, to ją bawiło, więc... grała dalej bez namysłu.

Po kwadransie z 200 franków kapitału pozostało jej tylko 50 franków. Jej zdumienie było wielkie, nie mogła pojąć dlaczego wygrywając za każdym razem 175 franków, przegrała ich już 150?

— Jak to być może? — zapytała mnie.

Wtedy wytłómaczyłem jej, że grając w ten sposób, musiała koniecznie przegrać, gdyż stawiając na wszystkie 37 numerów po pięciofrankówce, otrzymywała od banku tylko 35 pięciofrankówek.

— Jakże więc — rzekła do mnie — trzeba grać, aby nic nie przegrać i nic nie wygrać?

— To niemożliwe — odpowiedziałem.

— Jakto niemożliwe... czy zawsze musi się przegrać?

To było zapytanie, nad którem nigdy nie myślałem pierwej. Musiałem odpowiedzieć:

— Tak jest, pani!...

— Ach, to być nie może!... — zauważyła nieszczęśliwa dama — postawię naprzykład na czerwone i na czarne. Mówiąc to rzuciła na oba pola 20 franków.

— Pani może znowu przegrać — rzekłem jej.

— Zero!... — zawołał mój kolega — i te dwie stawki znowu zostały zgarnięte do kasy bankowej, przez co dama straciła znowu 25 franków. Pozostało jej jeszcze ostatnich 25 franków.

— Ależ, doradź mi pan przynajmniej, jak i gdzie stawiać należy, aby mieć przynajmniej prawdopodobieństwo wygrania?

— To jest bardzo trudne, ponieważ nie ma prawdopodobieństwa w grze, która daje pewną wygraną dla banku... ale spróbuj pani na *passe* i na pierwsze 12 numerów — a ona stawia 15 franków na *passe* i 10 na pierwszy tuzin.

— Siedmnaście!... — zawołał mój kolega i ja musiałem wyciągnąć moje grabki, aby zagarnąć te ostatnie 25 franków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Literatura polska.

Martwy rynek księgarski w Galicji ożywiają od pewnego czasu dwaj młodzi wydawcy lwowscy, pp. Jakubowski i Zadurowicz, nieustępujący co do ruchliwości bynajmniej firmom warszawskim. Coraz więcej książek z firmą „Jakubowski i Zadurowicz" przybywa, a wszystkie odznaczają się pod względem typograficznym starannością i wytwornością. Ich wartość literacka bywa oczywiście rozmaita, lecz ta strona książki — najważniejsza — nie jest w mocy wydawców.

Zacznijmy przegląd od dzieł, zasługujących na szczere poparcie, przyjemniej bowiem chwalić, aniżeli ganić.

Nakładem pp. Jakubowskiego i Zadurowicza wyszła wiązanka nowel Jana Łady p. t. „Pastele".

Imię Jana Łady nie mówi pozornie nic do czytelników warszawskich, a przecież to nasz dobry znajomy, ceniony niegdyś bardzo wysoko w prasie zachowawczej. Jan Łada, właściwie ks. monsignor Jan Gnatowski, tajny szambelan papieski, zajmował temu lat dziesięć w głównych organach t. zw. młodych zachowawców warszawskich (*Niwa*, *Słowo*) stanowisko wybitne, które zawdzięczał nietylko gorącym przekonaniom, ale i niepospolitemu talentowi pisarskiemu. Wykształcony wszechstronnie, wytworny znawca literatury i sztuki, świetny stylista, był jako krytyk i polemista siłą pierwszorzędną, zapowiadającą bardzo dużo na przyszłość. Może szkoda, że ks. Gnatowski zarzucił pole, na którem debiutował z takiem powodzeniem.

Zalety jego stylu i temperamentu odnajdujemy w „Pastelach", osnutych na różnych tematach, w znacznej części podpatrzonych z bliska, co zdradza szczery, swobodny ton, jaki wieje z książki na czytelnika.

Na szczególną uwagę zasługują obrazki z życia uczącej się ubogiej młodzieży („Wiosną", „W otchłań"), w które autor włożył oprócz talentu i daru obserwacji, ciepło dobrego serca, współczującego niedoli wydziedziczonych.

Nowella p. t. „W Tyrolu" przypomina dawnego mistrza słowa. Gdy Łada odtwarza śpiew Seppla, płynący nocą z gór tyrolskich pod stropy niebieskie, mogą mu siły i barwności języka pozazdrościć nasi najlepsi styliści. Majster dużej ręki przemawia do czytelnika z tego wspaniałego obrazu.

Pochwały bywają krótkie, zrzędzenia długie, bo pierwszych nie potrzeba uzasadniać. Licząc się z miejscem, którego dla literatury skąpi dziennikarstwo, pochłonięte przez materjał bieżących wiadomości, ograniczam się na szczerem poleceniu „Pastel" Jana Łady.

Ta sama życzliwość należy się obrazkom p. Juljusza Starkel'a p. t. „W kniei i wśród ludzi" (nakład pp. Jakubowskiego i Zadurowicza).

Jest ich dwanaście tych „nowel" a wszystkie pachną lasami, polami i górami, wśród których je autor pozbierał, i we wszystkich tentni talent, oryginalny, dziwnie wonny.

Obrazki „Z kniei" napisał myśliwy, rozkochany w łowiectwie, rozumiejący i odczuwający tajemniczą mowę przyrody; typy ludzkie naszkicował „dziwak", którego zajmują charaktery niezwykłe. Bardzo wyraźnie odcinają się nowelle p. Starkel'a od szarego tła pospolitych „szkiców i obrazków".

Teodor Jeske Choiński.

Łowiectwo.

Odzwyczajenie wyżła od gonienia zajęcy.

Chętnie dzielę się z czytelnikiem odkryciem łatwego bardzo sposobu odzwyczajenia wyżła od gonienia zajęcy, które słusznie uważają dzisiaj za wielką wadę, ponieważ z psem legawym wyłącznie na lotną zwierzynę polować się powinno. Czy środek ten, w zastosowaniu dla wszystkich z tą wadą psów, w różnym stopniu skutecznym się okaże, nie umiem tego powiedzieć, gdyż to zależy przeważnie od natury i wrażliwości zwierzęcia. Nie mając wcale pretensji do ubiegania się o patent na ów wynalazek, w imię ogólnego dobra pospieszam ogłosić go braciom myśliwym, starając się przytem, o ile możności, wytłómaczyć się jasno, nie pominąwszy żadnego ważniejszego szczegółu.

Przy końcu tegorocznego sezonu polowania na kuropatwy, pies mój, będący w trzeciem polu, zaczął gonić zająca, czego nigdy poprzednio nie robił. Nadaremnie próbowałem wszelkich znanych sposobów do odzwyczajenia go od tego, nie wyłączając nawet bata, lecz wszystko, niestety, nic nie pomagało! Niemiłosiernego katowania psa, jak to wielu w tych razach zwykło czynić, starałem się uniknąć, bo za wielkim jest moim ulubieńcem, a nadto. jako pointera czystej krwi, a zatem wielce nerwowego, oszczędzać należało.

Tydzień cały suszyłem głowę nad wynalezieniem odpowiedniego środka; aż nareszcie, po wielu pro i contra, przyszła mi myśl, o której nie umiem stanowczo powiedzieć, czy jest płodem mojej fantazji, czy też gdzieś od kogoś zasłyszaną — dość, że po wprowadzeniu jej w życie, wykrzyknąć mogę: Eureka! jak to kiedyś uczynił sławny Archimedes, gdy odkrył ciężar gatunkowy ciał.

Ubitego zająca włożyłem do korcowego mocnego worka i w pewnem oddaleniu, aby pies manipulacji tej nie mógł zauważyć, kazałem ponieść za sobą w pole. Wkrótce nadarzyła się sposobność wypróbowania obmyślanego środka — pies pogonił za pomykającym zającem. Gdy zadyszany powrócił, naipierw dałem mu dobrze w skórę, a bijąc, wyraźnie kilkakrotnie powtórzyłem — waruj! Po dopełnieniu tej przykrej operacji, wsadziłem psa do worka wraz ze znajdującym się tamże zającem i jeszcze po należytem zawiązaniu, uderzyłem psa przez worek kilka razy batogiem. Pies, w pierwszej chwili oszołomiony niezwykłą sytuacją, począł się w worku szalenie miotać, chcąc koniecznie wydobyć się z niego. Za każdym razem, gdy się uspakajał, ja mu ciągle owego zająca, naturalnie nie odwiązując worka, starałem się przed pysk nakierowywać, aby go wciąż miał przed nosem, wygłaszając przy tem bezustannie „waruj"! Po półgodzinnem trzymaniu psa w worku, aby karę tem dotkliwszą uczynić, oddaliłem się ze 200 kroków i okrążając go, kilka razy na wiatr strzeliłem, udając, że poluję na kuropatwy. Po pierwszym i drugim strzale, dostrzegałem usiłowania gwałtownego wydobycia się z uwięzi, a przy następnych tylko żałośne skomlenie wraz z wyciem, spowodowanem prawdopodobnie zazdrością, czy też żalem, iż w polowaniu uczestniczyć nie może.

Trzymanie psa w worku trwało muiej więcej godzinę, a gdy przyszedłem go uwolnić, więźnia znalazłem zadyszanego, z miną ogromnie niewyraźną.

Aby ostatecznie jeszcze bardziej ród zajęczy psu obrzydzić, przyczepiłem krótko do obroży zająca, którego z pół kilometra dźwigać musiał.

Nazajutrz, wyszedłem w oziminy, aby tam spotkać sporo zajęcy i przekonać się o rezultacie dokonanej próby. Naumyślnie dozwoliłem psu chodzić daleko, niczem go nie krępując. Zające tego dnia dobrze dotrzymywały i pomimo, że psu z pod nosa wymykały, za żadnym nie pogonił.

Polowałem następnie jeszcze ze dwa tygodnie na kuropatwy, spotykając przy tej okazji wiele zajęcy, na które pies zupełnie żadnej uwagi nie zwracał.

J. B.

MODY.

Wystawy zagraniczne wystąpiły z futrami, płaszczykami i rotundami rozmaitej długości. Z pomiędzy futer, najwięcej używane tumaki, kuny, skonksy, bobry, wydry, skórki z baranka astrachańskiego lub z kozy indyjskiej z długim połyskującym włosem. Dla osób bardzo bogatych sobole i lisy niebieskie. Gronostajami podbijają peleryny aksamitne, z małą wypustką, wybiegającą u brzegu; dla taniości używają zamiast tychże białych królików naszywanych w odstępach czarnemi

ogonkami. Widzimy jako nowość wystawioną rotundę *collet* z baranka astrachańskiego, drugą *Mireillę*, cieplejszą z kuny norwegskiej, podbitą czarnym pikowanym atłasem. U dołu idą rzędem ogonki tego zwierzątka, tworząc bogatą frendzlę. Krótsza od tych peleryna biała, zwana *frilleuse*, służy do wejścia na bal lub do teatru. Karczek u niej z puszku łabędziego, w koło idzie przymarszczone lekko, białe futro kozy indyjskiej. Noszą jeszcze palatyny ze skonksów, zwane *etole Sarah*, modna też palatyna *etole Andrea*, do wizytowego ubrania, karoczko przy niej z astrachanu, zaokrąglone na plecach, ścięte na przodzie w chusteczkę. Do koła idzie obłożenie z kozy indyjskiej, szerokie na plecach i ramionach, zwężone w stanie, spadają stąd dwa długie końce, prawie do dołu spódnicy. Oprócz wymienionych powyżej okrywek, wszystkich obróconych futrem na wierzch, używane są także z aksamitu, sukna lub szewiotu, podbite kunami, wydrą holenderską albo popielicami. Te rotondy po większej części całe wyszywane sutaszem w deseń, lub haftowane w maszynie, w koło nich wybiega z pod spodu wązka wypustka futrzana. Widzimy osobne kołnierze z kozy indyjskiej, wydry lub skonksów, w tyle ścięte prosto, jak kołnierz marynarski. Noszą też długie krawatki z kuny norwegskiej, spięte u szyi na główkę zwierzątka, końce sięgają do stanu, naszyte kilkoma ogonkami. Okrywki przeznaczone dla starszych osób, spadają poniżej kolan, a nawet do ziemi. Robią je z aksamitu, *velours du nord*, sycyljanki, a skromniejsze z wełnianego szewiotu, podbijają je zwykle popielicami. Do tego nosi się kołnierz z tumaków, lub z konksów, przypinany osobno.

Ozdoby z futra przyjęte powszechnie do kostjumów i strojnych nawet sukien. Często zdarza się widzieć futro pomieszane z grubą koronką wenecką w śmietankowym odcieniu. Na przykład bardzo oryginalna zarzutka wizytowa na śmietankowym atłasie, położona gładko gipiura z grubych szarych nici, na to idzie kołnierz bobrowy, złożony z pięciu luźnych klapek, ściętych w kwadrat u dołu, rozchodzących się ze sobą, dodany do tego wysoki kołnierz odwinięty u brzegu. U staników otwartych dają wyłogi futrzane, wycięte we dwa lub trzy szpiczaste zęby. W skutek wysokiej ceny baranka astrachańskiego, który jest bardzo poszukiwany, fabrykańci francuscy wymyślili tkaninę wybornie go zastępującą. Wyrabiają z niej żakietki, peleryny, krawaty, ubrania do sukien, kołnierze, figara i mufki; trudno ją odróżnić od prawdziwego astrachanu.

KRONIKA.

Kraków, 24 listopada.

Kalendarz kościelny. Dziś, Jana od Krzyża, jutro Katarzyny panny męczenniczki. pojutrze Piotra Aleksandra biskupa i Konrada męczennika.

Jutro nabożeństwo odpustowe bractwa Najśw. Marji Panny w kościele św. Katarzyny. OO. Augustjanów.

W kościele OO. Reformatów jutro nabożeństwo uroczyste.

Kalendarz myśliwski. W listopadzie wolno polować na jelenie, kozły (rogacze), zające, borsuki, lisy, jarząbki, słomki, cietrzewie i głuszce, bażanty, kuropatwy, dropie, pardwy, oraz na ptactwo błotne i wodne w ogólności.

Ochraniać należy: łanie, kozy, koźlęta i szpiczaki, przepiórki, dzikie gołębie, oraz kury, głuszce i cietrzewie.

Kalendarz rybacki. W listopadzie wolno łowić: bolenie, lipienie (głowawice), świnki, wyrozuby, czopy, sandacze, brzanki, brzany i cytry; leszcze, węgorze, czeczugi, klonki, jazie i szczupaki. Ochraniać należy łososia, pstrąga oraz raka tak samca jak i samicę.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczyna się dziś o godz. 7 minut 8, zachód przypada o godzinie 3 minut 44: długość dnia godzin 8 minut 36

Temperatura rano stopni 3 zimna.

Kupujcie tylko u chrześcijan!

Pamiętajmy o gimnazjum polskiem w Cieszynie!

Kraków d. 23 listopada.

Mróz, nie byle jaki, ale prawie kawalerski już zawitał do naszego miasta. Wczoraj jano błoto na kupkach w kilku ulicach zostało dobrze ścięte, więc jest teraz nadzieja, że w słodkim spoczynku przeleży ono tak do wiosny, zimny wiatr pociągnął od północy, drobny śnieg posrebrzył dachy i założy trotoarów — słowem zima przed nami. Cieszą się kawalerowie i panienki myślą o ślizgawce — radują się serca młodzieży, bo karnawał za pasem — ale z zimą przyjdzie zima, a z zimą powiększy się nędza biedaków, nie mających czem ogrzać swojej izdebki. Wy, którym Bóg fortuny nie poskąpił, pamiętajcie o nieszczęśliwych!

P. Zapolska, której występy miały ożywić repertoar naszego teatru, poważnie zachorowała i zdaje się, że utalentowana artystka nie tak prędko wróci na deski teatralne, gdyż za poradą lekarską będzie musiała udać się na południe dla przeprowadzenia systematycznej kuracji.

Repertoar teatru miejskiego. Dziś, w niedzielę 24 bm. „Dom warjatów“, komedja w 3-ch aktach Laufsa. W poniedziałek 25 bm. teatr zamknięty. We wtorek 26 bm. „Dom otwarty“, komedja w 3-ch aktach Michała Bałuckiego. We środę 27 bm. „Zbójcy“ tragedja w 5 aktach Fr. Szyllera (przedstawienie popularne). We czwartek 28 b. m. „Bracia Lerche“, komedja w 3-ch aktach Adama Asnyka. W piątek 29 bm. teatr zamknięty. W sobotę 30 listopada „Filareci“, obraz dramatyczny w 4-ech aktach na tle historycznem Adama Staszczyka (nowość). W niedzielę 1 grudnia „Filareci“ po raz drugi.

W Kasynie powszechnem wrzało wczoraj prawdziwie młodzieńcze życie! Do dwustu osób zebrało się, aby oklaskiwać „Radców pana Radcy“ p. Bałuckiego, odegranych z wielką starannością przez ogół występujących amatorów. Ogólna zabawa po przedstawieniu miała nadzwyczajne powodzenie. Sala roiła się od nadobnych tancerek i tancerzy. Wnosząc z wczorajszej zabawy, spodziewać się można, że przyszły karnawał będzie niezwykle ożywiony i że komitet zajmujący się zabawami, gorliwie pełnić będzie swoje zadanie. Świetnym przykładem tej gorliwości komitetu był wczorajszy wieczór, przypadający umyślnie w dzień św. Katarzyny. Obecnie komitet czyni przygotowania do św. Mikołaja, zabawa ta obejmować ma między innemi liczne przyjemności i niespodzianki dla dziatwy.

Koncerta spacerowe, które niegdyś w Sukiennicach tak znacznem cieszyły się powodzeniem — odżyją nanowo. Począwszy bowiem od przyszłej niedzieli koncerta tego rodzaju odbywać się będą w dnie świąteczne w sali hotelu saskiego od godziny 4—6 po południu i nie ulega wątpliwości, że jak niegdyś tak i teraz przyczynią się korzystnie do ożywienia ruchu towarzyskiego w mieście zwłaszcza, że weźmie w produkcjach tych udział ulubiona orkiestra 13 pułku, której programy pod względem rozmaitości i doboru utworów nie małą posiadają atrakcję.

Panorama. Dziś, po raz ostatni oglądać można Rzym. Kto był w Rzymie, ten zachwyca się w Panoramie wspomnieniem najciekawszych i najwspanialszych widoków — kto zaś nie był na miejscu, może nabrać z tych widoków najdokładniejszego wyobrażenia o Wiecznem Mieście, gdyż są one oddane najwierniej, zupełnie jak w naturze.

Kurs nauki opatrunku. Chociaż wszelka wiedza jest korzystna dla człowieka, jednakowoż w naszym wieku utylitarnym szukamy, przedewszystkiem tego, co nam w życiu może być potrzebnem i pożytecznem. Jak potrzebnem i pożytecznem jest zaznajomienie się z pielęgnowaniem ran i skaleczeń, nie potrzebujemy chyba dowodzić. Dawnemi czasy, kiedy daleko szukać trzeba było lekarza, prababki nasze zajmowały się tem bardzo pilnie; dziś, choć o pomoc lekarską łatwiej, potrzeby tej nie usunięto i każda pani mieszkająca na wsi, każda matka rodziny, powinna umieć poradzić w nagłym wypadku, nim doktor przybędzie, powinna umieć opatrzyć ranę i do wygojenia doprowadzić według jego wskazówek.

Żeby to urzeczywistnić, we wszystkich większych miastach zaprowadzono w ostatnich latach praktyczne kursa opatrunku dla pań. Kraków nie pozostał co do tego w tyle, i dzięki matce Juhel, matce wizytatorce St. Miłosierdzia, która lokalu użyczyła, a szczególniej, dzięki dr. Bossowskiemu, docentowi na Uniwersytecie Jagiellońskim, który czasu i starań nie szczędził, przez dwie ostatnie zimy odbywały się tutaj podobne kursa. Z jakim skutkiem zaświadczy każda z uczennic, którym pewno nie raz przyszło z nabytej umiejętności korzystać. Nie wątpimy, że zainteresuje szersze koła publiczność, iż kursa praktyczne opatrunku i w tym roku, począwszy od grudnia, odbywać się będą tak jak poprzednich lat, w domu St. Miłosierdzia na Kleparzu, od 9 do 10 rano, i tam za opłatą 3 fl. miesięcznie wpisywać się można.

Mamy także nadzieję, że panie nasze tak pohopne do wszystkiego dobrego, panienki chcące się przygotować do życia pożytecznego, sobie i drugim, licznie się stawią, a tem chętniej, że przez poświęcenie tych kilku godzin teraz, umożebnią sobie w przyszłości nie jeden miłosierny uczynek, a czyż to samo nie jest dostateczną zachętą i największą nagrodą!

Z sądu. W ciągu ostatnich trzech dni toczyła się przed krakowskimi sędziami przysięgłymi jedna z tak częstych spraw karnych przeciw żydowi o zbrodnię oszustwa.

Chiel Zając przybył przed dziesięciu laty do zachodniej Galicji z tysiącem guldenów kapitału, a wziąwszy posagu dwa tysiące, rozpoczął w Chrzanowie handel drzewem. Po czterech latach z kapitałem 5.000 złr. wszedł w spółkę z Jakóbem Weinfeldem i założył z nim razem skład drzewa przy ulicy Starowiślnej. Ponieważ handel nie szedł pomyślnie, Zając spółkę rozwiązał płacąc Weinfeldowi 6.800 złr. wekslami. Z weksłów tych z końcem roku 1893 miał jeszcze do spłacenia 2.000 złr. Przemyślny Zając nie zawsze jednak rozporządzał gotówką na zawołanie w terminie, w którym przypadała upłata weksla; od czegoż jednak wrodzony spryt rasowy. Zając radził sobie w ten sposób, że puszczał w obieg weksle z podrabianemi podpisami, które z pomocą pośredników eskontował za pewną prowizją. Prawda jednak wyjdzie zawsze na wierzch jak oliwa; w kwietniu 1894 roku przedłożono p. Z. Mikołajskiemu weksel wystawiony przez Zająca, a noszący także fałszywy podpis p. Mikołajskiego. Doniesiono o tem dyrekcji policji, która zarządziła aresztowanie Zająca. Przy dokonanej rewizji znaleziono u pomysłowego żyda notes obejmujący spis weksli, w tenże sam sposób sfałszowanych. Śledztwo wykazało, że Zając takich weksli puścił w obieg aż 28 na łączną kwotę 9.400 złr.

Prokuratorja państwa wytoczyła tedy Zającowi proces o zbrodnię oszustwa z §§. 197, 200 i 201 a) u. k. przed trybunałem sądu przysięgłych w dniu 3 kwietnia b. r. Celem jednak powzięcia dokładnych wiadomości o stanie majątkowym, a mianowicie dla stwierdzenia o ile majątek Zająca pokrywa pretensję wszystkich wierzycieli, odroczono wówczas sprawę, którą teraz ponownie podjęto. Zając przyznał się do czynu, oświadczył jednak, że nie poczuwa się do winy, ponieważ weksle żona i szwagier wykupili i tym sposobem nikt nie poniósł szkody, której nie miał zamiaru wyrządzić. Zając stwierdził, że byłby w każdym razie weksle we właściwym terminie wykupił. W toku rozprawy poszkodowani wistocie oświadczyli, że do Zająca mają pretensję tylko o tyle, o ile przy wykupnie owych weksli potrącono pewne procenty, niedochodzące jednak sumy 300 złr.

Prokurator, dr Stawarski, przedstawił pp. przysięgłym całą obydwa tego czynu niemoralnego, nieuczciwego i zbrodniczego, a więc i karygodnego. Krzywda meterjalna tkwi także w tem, że fałszywie podpisany akceptant lub żyrant zmuszony jest stawać przed sądem, przysięgą stwierdzić, że podpis nie jest jego własny, nie mówiąc już o tem, że puszczeniem podobnych weksli bezwiednie został narażonym na zachwianie własnego kredytu.

W myśl powyższych wywodów, mimo obrony mecenasa, dra Szalaya, przysięgli 10 głosami potwierdzili pierwsze pytanie główne, przyjmując zarazem pytanie drugie dodatkowe, że szkody poniesione wynoszą ponad 25 złr. Trybunał, pod przewodnictwem radcy, p. Matusińskiego, wymierzył Zającowi karę 10 miesięcy zwykłego więzienia, z jednym postem co tydzień i skazał go na zapłacenie kosztów postępowania sądowego. Na zapytanie czy wyrok przyjmuje, Zając zastrzegł sobie trzy dni do namysłu.

Kradzież zuchwałą spełnił wczoraj wieczorem nieznany złodziej przed Sukiennicami. Przed godz. 8 zajechał wóz spedytorski przed sklep firmy Jara i Jakubowski i kiedy spedytor tylko na małą chwilę się oddalił, rzezimieszek prawie w oczach parobka, który chodził naokoło wozu, zdołał wóz otworzyć i wykraść paczkę, zawierająca 8 do 10 tuzinów noży i widelców wartości do 50 złr. Spedytor wróciwszy, zastał wóz otwarty i parobka na warcie; z nożów i widelców nie zostało ani śladu.

Nabożeństwo żałobne za niewinnie pomordowane ofiary w Krożach na Litwie, odprawił wczoraj w kościele księży Pijarów ks. kan. Centt. Po nabożeństwie, przed oświetlonym katafalkiem, odśpiewał celebrans wraz z chórem asystujących księży, kondukt żałobny. Publiczność w skupieniu modliła się za niewinne ofiary. Na chórze towarzyszyły nabożeństwu śpiewy żałobne, a między

innemi p. Stępniowski odśpiewał modlitwę St. Moniuszki „Panie co losy ludzkości“.

Program wieczoru Listopadowego, który się odbędzie w piątek 29 b. m. w sali Towarzystwa Strzeleckiego, pod artystycznym kierunkiem prof. dra Fr. Bylickiego, wypełni: Słowo wstępne posła dra Sokołowskiego, śpiew solowy panny Wędrychowskiej, popis na fortepjanie p. Kutrzebianki, deklamacje pp. Mieczysława Kozłowskiego i Juljusza Jejdego, oraz produkcje chóru „Lutni“, pod kierunkiem dyr. A. Steibelta.

Podatek domowo-czynszowy. Z pomiędzy założycieli „Koła mieszczańskiego“ utworzyło 48 właścicieli realności ankietę, w sprawie obniżenia podatku domowo-czynszowego. Pierwsze posiedzenie ankiety odbędzie się w sali „Koła mieszczańskiego“ w dniu 26 bm. o godz. 6 wieczorem (Rynek, nad księgarnią D. E. Friedleina II p.)

Wkrótce ma „Koło mieszczańskie“ przystąpić do wyjednania sprawiedliwszej ordynacji wyborczej do „Izby handlowo-przemysłowej“, oraz poczynić kroki w wielu bardzo ważnych sprawach, dotyczących obrony interesów mieszczańskich. — Szczęść Boże uczciwym zamiarom.

Komisja sanitarna krakowska odbyła w dniu 16 b. m. pod przewodnictwem Prezydenta miasta posiedzenie zwyczajne, na którem fizyk miejski podał do wiadomości liczby odnoszące się do śmiertelności w Krakowie w ubiegłych miesiącach. Procent zmarłych na choroby zakaźne wyniósł w październiku r. b. 16·4. Kosztem miasta szczepiono 1923 osób, rewakcynowano 1021 głównie z powodu rozporządzenia w tej mierze kraj. Rady szkolnej. Dr Bujwid wniósł, by wiadomości obchodzące ogół udzielać mu za pośrednictwem dzienników, na co wyjaśniono, iż to już się dzieje i dalej też dziać będzie. Fizyk miejski wyjaśnił sprawę budowy osobnego, miejskiego szpitala dla chorób zakaźnych i uwiadomił, iż Magistrat w myśl wniosku r. m. dra Pareńskiego wezwał lekarzy miejscowych do wypełnienia ściśle obowiązku donoszenia o przypadkach chorób zakaźnych, co też teraz częściej dzieje się niż dawniej. Weterynarz miejski Papée uwiadomił, iż Magistrat spełniając wniosek r. m. dra Domańskiego co do potrzeby ściślejszej kontroli nad mięsem w mieście sprzedawanem, mianowicie sprowadzanem poza rogatek, zamierza dodać komisarzowi targowemu do pomocy osobnego weterynarza i w tej mierze pełnej Radzie miejskiej stosowne przedstawi wnioski, następnie doniósł, iż w Krakowie pojawia się ciągle jeszcze wścieklizna u psów, których z tego powodu ubito 850, iż osoby pokąsane przez psy wściekłe przekazywano prof. Bujwidowi do właściwego szczepienia, tudzież, iż jedna obywatelka pokąsana przez własnego małego psa pokojowego, która mimo namowy nie chciała poddać się leczeniu, na wściekliznę zmarła. Zgodzono się, iż ze względów sanitarnych można pozwolić na branie psów do powozów publicznych pod warunkiem, by psy miały kagańce. Przyjęto referat dra Ponikły w sprawie urządzenia zakładu czyszczenia jelit. W końcu weterynarz miejski Papée w obszernym i gruntownym elaboracie zdał sprawę z wniosku r. m. dra Domańskiego w kwestji niszczenia padliny i mięsa skonfiskowanego w sposób dla zdrowia ludzkiego całkiem bezpieczny i oświadczył się za zbudowaniem na ten cel osobnego zakładu z przyrządem systemu Podewila. Wniosek ten przyjęto i uznano potrzebę jak najrychlejszego jego wykonania, by zapobiedz nadużyciom, a tem samem i niebezpieczeństwu z odkopywania padliny.

Historja wróbla. (*Zdarzenie prawdziwe*). Niedawno zmarła w Krakowie hrabina S. Była ona wielką miłośniczką wszelkiego rodzaju ptasząt, a w szczególności kanarków. To też w klateczce w jednem z okien zawieszonej, zawsze przynajmniej parkę mieć musiała, gdyż w samotnem jej życiu, one jedne rozweselały ją swym śpiewem. Po długiem niewidzeniu hrabiny — opowiadała nam pewna dama — przyszłam ją odwidzić, lecz jakież było moje zdziwienie, gdy między jej ulubieńcami ujrzałam małe szare ptaszę, w którem poznałam wróbelka. Zdjęta ciekawością, spytałam się hrabiny, coby ją zniewoliło do nabycia ptaszka, z którego przecie żadnej przyjemności mieć nie mogła. Na to uśmiechnęła się staruszka i opowiedziała mi co następuje:

— „Było to w lipcu; właśnie stałam w otwartem oknie, przypatrując się blacharzowi, naprawiającemu rynnę, gdy naraz spostrzegłam. że blacharz sięgnąwszy ręką do rynny, wyjął z niej małe gniazdko. Z niego zerwało się jedno ptaszę, lecz biedactwo uderzywszy o brzeg rynny skrzydełkiem, stoczyło się na dół i zginęło na miejscu. W gniazdku pozostało dwoje piskląt, otwierających dzióbki napróżno, które piskiem wzywały matkę. Litość mnie zdjęła nad sierotkami, poprosiłam więc znalazcę o oddanie mi gniazdka, co też on chętnie uczynił. Owinęłam ptaszę to w watę i kilka razy dziennie karmiłam je bułką maczaną w mleku. Jedno, widocznie słabsze, z trzech dni życie zakończyło, ale drugie, wychowało mi się jak pani widzi i kocha mnie jak matkę rodzoną“. Z temi słowy hrabina otworzyła klatkę. Na wołanie: „Fiutuś! Fiutuś!“ wróbelek usiadł jej na ramieniu, następnie na głowie i dziobiąc ją delikatnie po twarzy, zdawał się dopominać o pieszczoty. Wzruszyła mnie ta miłość drobnej ptaszyny względem osoby, którą za swą matkę uważała.

W dwa lata później hrabina zachorowała niebezpiecznie. W ostatnich godzinach życia, po kilkakroć wspominała imię swojego ulubieńca. „Losem kanarków wcale się nie niepokoję — mówiła z cicha—, gdyż te ptaszęta każdy z ochotą przyjmie do siebie, lecz co się stanie z moim biednym wróbelkiem? Jeżeli po mojej śmierci nie znajdzie osoby, którąby się nim chciała zaopiekować, może zginąć marnie z głodu i zimna. Zrób mi pani tę łaskę — dodała, zwracając się ku mnie—i przyjm do siebie mojego sierotkę.“ Nie mogłam odmówić próśbie umierającej staruszki i przyjęłam go jako spadek po nieboszczce. Staram się we wszystkiem dogadzać sierotce i zastąpić mu tę, którą utracił. Jest on też wesół, gdyż nie zbywa mu na niczem, ale pieszczotami, które okazywał swej przybranej matce, nie obdarza mnie nigdy...

Ślub. Wczoraj o godzinie 9 rano w kościele OO· Karmelitów, w kaplicy Matki Boskiej, odbył się ślub p. Władysława Reinera, właściciela wsi Zalesiany, syna Leopoldyny i Kaspra, dawnego właściciela firmy pod "Trzema gwiazdami" z p. Olgą Schubert z Gdowa. Młodej parze błogosławił ks. Tadeusz Chromecki.

Nowa katedra na politechnice lwowskiej. Ze Lwowa donosi nasz korespondent (*C*). Jeszcze w maju b. r. rektorat tutejszej politechniki przedłożył ministerstwu oświaty wniosek o zaprowadzenie katedry hydrotechniki. Ministerstwo oświaty odpowiedziało teraz, że jakkolwiek sprawa ta w pierwszej linji posiada charakter naukowy, jednakże dotyczy ona także interesów ekonomicznych kraju i dlatego ministerstwo uważa za stosowne zwrócić się wprost do galicyjskiego Wydziału krajowego z prośbą o objawienie swojego zdania w tej materji. Wydział krajowy przed posłaniem do Wiednia żądanej odpowiedzi, wystosował osobny memorjał do Tow. gospodarczego we Lwowie, do c. k. Tow. rolniczego w Krakowie, do Towarzystw technicznych we Lwowie i w Krakowie, oraz do komisji krajowej dla spraw przemysłowych z wezwaniem, aby instytucje te wypowiedziały swoje opinje co do potrzeby zaprowadzenia katedry hydrotechnicznej na politechnice lwowskiej. O decyzji wydziału we właściwym czasie doniesiemy, na razie nadmieniamy tylko, że byłaby to szósta katedra na naszej politechnice, gdyż w najbliższej przyszłości utworzona ma być także katedra górnictwa i hutnictwa w myśl życzeń poprzednio przez Sejm wyrażonych.

„Sprawa honorowa“. Pod tym napisem umieszcza *Wiener Tagblatt* telegram ze Lwowa, w którym korespondent obszernie opisuje awanturę dra Lewakowskiego. Kończy zaś sprawozdanie swoje kategorycznem doniesieniem, że poseł Lewakowski przybył do Lwowa i że zażądał honorowej satysfakcji zarówno od posła Merunowicza, jakoteż od p. dyrektora Zimy.

Możemy oświadczyć — pisze *Gazeta Narodowa* — że doniesienie to mija się z prawdą.

P. Artur Schellenberg, szef lwowskiej firmy bankowej „August Schellenberg i Syn“ publicznie oświadcza: Z powodu licznych zapytywań tak ustnych jak i listownych, oświadczam niniejszem, że firma moja „August Schellenberg i Syn“ nie pozostaje w żadnym związku z firmą "Schellenberg i Kreyser", założoną przed dwoma laty przez panów Pawła Schellenberga i Oskara Kreysera.

Ze Lwowa. Rada miejska wnioski w sprawie zmiany statutu przyjęła 44 głosami przeciw 35.

Do jury dla osądzenia planów budowy nowego teatru nadesłanych na konkurs, powołano oprócz reprezentanta Wydziału krajowego: 1) jako członków nie architektów: dr Ant. Małeckiego, Karola Schayera i J. Kotarbińskiego reżysera teatru krakowskiego, 2) jako członków architektów z po za Lwowa: Odrzywolskiego z Krakowa, Dziekońskiego z Warszawy i Förstera z Wiednia, 3) jako architektów lwowskich pp. J. K. Janowskiego, prof. Zacharyewicza i dyr. Hochbergera.

Zima — piszą ze Lwowa — rozpoczęła już z dniem onegdajszym na serjo swoje panowanie. Śnieg spadł tak obficie, że grubą warstwą pokrył nietylko dachy, ale także chodniki i ulice miasta. Śnieżyca, trwająca kilka godzin, zasypała onegdaj szyny tramwajowe skutkiem czego ruch tramwajów, tak konnych jak elektrycznych, przez pewien czas mógł się odbywać tylko z wielką trudnością. Jeszcze jedna taka śnieżyca, a będziemy mieli wyborną sannę.

Z Paryża pisze korespondent: „Rano wysłałem korespondencję donoszącą o śmierci księcia Józefa Lubomirskiego. Wiadomość podałem na wiarę dzienników tutejszych. Tymczasem dowiaduję się, że umarł nagle książę Franciszek Ksawery Lubomirski, zamieszkujący oddawna Francję. Ożeniony był z hrabianką Działyńską i pozostawił syna Leona. Ten przebywał obecnie w Nicei i telegraficznie został wezwany do Paryża, na pogrzeb wojego ojca. Książę Józef Lubomirski jest zupełnie zdrów i wystosował następujący list do *Figara*: "Kochany panie de Rodays! W przejeździe przez Paryż, otwieram *Figaro* i z wielkiem zdziwieniem dowiaduję się o mojej śmierci. Proszę sprostować tę wiadomość przedwczesną, gdyż nie życzę sobie czytać w gazetach nekrologów za mego życia, które mogłyby być mniej uprzejme, niż w pańskim dzienniku. *Książę Józef Lubomirski*“.

Mianowanie. *Wiener Ztg* ogłasza, że nadinżynier galicyjskiego budownictwa miejskiego, Roman Ingarden, przydzielony do ministerstwa spraw wewnętrznych, zamianowany został inżynierem w temże ministerstwie.

Niesłychane! Przed sądem wiedeńskim stanęło wczoraj sześciu żydów oskarżonych o zbrodnię gwałtu publicznego, popełnionego przez wymuszanie głosów przy ostatnich wiedeńskich wyborach gminnych. Pisaliśmy już w swoim czasie o tem, że żydzi owi, prowadzący handel meblami, zagrozili zależnym od nich stolarzom, że w razie, jeżeli ci biedni ludzie będą głosować za kandydatami antysemickimi, żaden z handlarzy mebli nie będzie im dawał roboty, a więc będą musieli umierać z głodu. Na szczęście jest jeszcze sprawiedliwość w Austrji: wskutek energicznego żądania przywódców partji anty-semickiej, zbrodniarzy pociągnięto do odpowiedzialności. Wczoraj rozpoczęła się przeciwko nim rozprawa sądowa. Jeden z głównych organów obecnego gabinetu, wiedeński *Fremdenblatt*, zdając sprawę z wczorajszej przedpołudniowej rozprawy, a więc jeszcze w toku procesu i przed zapadnięciem wyroku, rozczulony upojeniem, jakie z powodu niezatwierdzenia Luegera ogarnęło całą semicką prasę, ośmielił się poprzedzić swój tendencyjny referat kilkoma słowami wstępu, w którym między innemi ze zdumieniem czytamy, następujące słowa, odnoszące się do istoty zbrodni oskarżonych: *Ein solches Vorgehen ist allerdings nicht zu billigen, aber zwischen Ungehörigkeit und — Verbrechen ist eine weite Kluft.* (Podobnego postępowania wprawdzie nie ma co chwalić, ale pomiędzy niestosownością (!) a zbrodnią jest wielka przepaść). Wiedeńska prokuratorja państwa nie widziała w tych słowach krzyczącego uprzedzania wyroku sądu i obrony karygodnych czynów i nie skonfiskowała numeru pisma, które uchodzi za wiernego przedstawiciela zapatrywań i tendencyj dzisiejszego rządu.

Dyslokacja wojsk w Galicji przedstawia się według najnowszej tabeli jak następuje: Czwarty batalion pułku pieszego nr 20 ks. Henryka pruskiego z Nowego Sącza przeniesiony do Krakowa, pierwszy z Krakowa do Nowego Sącza. Drugi bat. pułku pieszego p. nr 24 Reinlander ze Lwowa do Kołomyi, trzeci z Kołomyi do Lwowa. Pierwszy bat. pułku p. nr 45 ks. Fryderyka Augusta saskiego z Przemyśla do Sanoka, czwarty z Sanoka do Przemyśla. Czwarty bat. pułku p. nr 80 ks. Arnulfa bawarskiego z Brodów do Lwowa. Czwarty bat. pułku p. nr 89 Albori z Przemyśla do Jarosławia, dwie kompanje do Radymna. Pierwszy bat. pułku p. nr. 95 Redakowski ze Stanisławowa do Czortkowa, trzeci z Czortkowa do Stanisławowa. Batalion strzelców polnych ze Lwowa do Brodów, nr 12 z Liberca do Przemyśla, nr 32 z Igla do Zaleszczyk. Drugi, czwarty, piąty i szósty szwadron ze sztabem pułkowym pułku dragonów nr 3 ks. saskiego ze Stockerau do Krakowa, pierwszy do Chrzanowa, trzeci do Kęt. Drugi szwadron pułku drag. nr 10 Lichtenstein ze Strusowa do Borek Wielkich. Pułk drag. nr 11 Kaiser z Gródka i okolic do Stocke-

rau. Pułk drag. nr 13 Sabaudzki 4 szwadrony ze sztabem do Łańcuta, drugi szwadron do Żołyni, trzeci do Głogowa. Pierwszy szwadron pułku huz. nr 6 Würtembersk z Rzeszowa do Sędziszowa, drugi do Kolbuszowy, trzeci do Trzeszówki, czwarty, piąty i szósty z Sędziszowa, Kolbuszowy i Trzeszówki do Rzeszowa. Pułk huz. nr 12 ks. Walii ze sztabem z Gyöngyös i Miskolcza do Lwowa i okolicy. Sztab z 1, 2, 3 i 4-ym szwadronem pułku uł. nr 1 arcyksięcia Ottona z Krakowa i Chrzanowa do Wiednia, 5 i 6-ty szwadron do Gross Enzersdorfu. Piąty szwadron pułku uł. nr 2 Schwarzenberga z Niepołomic do Bochni, szósty z Bochni do Niepołomic. Sztab z 4 i 5-tym szwadr. pułku uł. nr 3 arcyks. Karola z Łańcuta do Gródka, 1 i 2-gi szwadron z Łańcuta do Głogowa i Hruszowa, trzeci z Żołyni do Jaworowa, szósty z Łańcuta do Sądowej Wiszni, kadry uzupełniające z Łańcuta do Lwowa. Sztab pułku uł. nr 7 arcyksięcia Karola Ludwika ze Lwowa do Wielkich Mostów, czwarty szwadron z Wielkich Mostów do Prusinowa, pierwszy i drugi ze Lwowa do Kamionki Strumiłowej, trzeci ze Lwowa do Buska. Czwarta kompanja bataljonu artylerji fortecznej nr 2 z Karlsburga do Jarosławia.

Z Izby sądowej. Przed trybunałem sądu obwodowego w Wadowicach, rozpoczęła się wczoraj rozprawa karna przeciw 55 włościanom z kilku gmin powiatu żywieckiego, o naruszenie prawa rybołostwa, wykonywanego przez dyrekcję arcyksiążęcych dóbr żywieckich w rzece Sole, przez gwałtowne najście, czem oskarżeni włościanie dopuścili się zbrodni gwałtu publicznego z §. 83 u. k. Nadmienić należy, iż pomiędzy zarządem dóbr Arcyksiążęcych a włościanami gmin okolicznych, toczy się od lat wielu spór o wykonywanie prawa rybołostwa, które ongi, jak świadczą liczne akta i kontrakta dzierżawne, posiadał wyłącznie skarb dóbr żywieckich, a włościanom je tylko wydzierżawiał. Przedmiotem sprawy jest sześć tłumnych i gwałtownych najść nad brzegi Soły w celu łowienia ryb, na terytorjum dóbr arcyksiążęcych. Rozprawie, która potrwa prawdopodobnie cały tydzień, przewodniczy radca p. Seuchter. Oskarżonych broni adwokat dr Łazarski.

Z Starego Sącza piszą do nas d. 17 b. m. Dziś obchodził „Sokół“ starosądecki uroczystość poświęcenia nowego lokalu a przy tej sposobności także dwuletnią rocznicę istnienia tegoż. Rano o godz. 12 w połud. ks. dyrektor Weryński w asystencji ks. Dymnickiego dopełnił uroczystości poświęcenia sali przy udziale dość licznie zgromadzonych druchów w strojach sokolich i innych członków „Sokoła“. Wieczór odbyła się dalsza uroczystość programem objęta, a mianowicie: O godz. $7\frac{1}{2}$ zdał wiceprezes w krótkości sprawę z działalności „Sokoła“ za dwa lata i następnie podał program dalszej jego czynności na przyszłość. Nastąpiła deklamacja, dalej solo na baryton przy akompanjamencie fisharmonji i odegrano komedję „O Józię“ p. M. Bałuckiego, jako też z „Kościuszki pod Racławicami“, Lasoty, III oddział t. j. kowali, Bartosz Głowacki i lirnik. W końcu żywy obraz przy oświetleniu ogni bengalskich. Wszystko wypadło ku największemu zadowoleniu publiczności.

Po widowisku odbyła się wieczornica ze współudziałem pań, która przeciągnęła się do późnej godziny. Wielką zasługę położyli około urządzenia tej uroczystości, tak z upragnieniem oczekiwanej w naszym grodzie druhowie: Fijałkowski wiceprezes, Pliszewski gospodarz, Czarnek skarbnik i K. Pisz, jako też amatorzy, którzy nietylko grali, ale także wszelkie koszta z przedstawieniem połączone przyjęli na siebie. Teraz w naszym „Sokole“ postępuje wszystko racjonalnie i odbywają się ćwiczenia i powstał chór śpiewacki pod kierownictwem druha Wróbla a członków przybywa „Sokołowi“ z każdym dniem. Czołem!

Krew żmij. Phisalix i Bertrand zakomunikowali paryskiej akademji rezultat ciekawych badań, z których wynika, że zagrzana krew żmij jest najpewniejszem antydotum na ukąszenie tejże żmii, i to użyta nawet w małej ilości. Badacze ci obiecują udoskonalić jeszcze tę nową metodę oddziaływania na ukąszenie jadowitych wężów.

Wielki pożar. W miasteczku Jostreb, położonem na Węgrzech, w komitacie Sarosel, wybuchł pożar i zniszczył 210 domów i 512 innych zabudowań. Cała ludność obozuje pod gołem niebem, a straty wynoszą przeszło 600.000 złr.

Zawalenie się rusztowania. W Peszcie runęło na ziemię rusztowanie z drugiego piętra nowobudującego się domu. Dziewięciu robotników zostało zabitych lub ciężko rannych.

Nowy pociąg dworski. Niedawno wyszedł z wielkiej fabryki Ringhoffera w Pradze czeskiej, zupełnie nowy pociąg dworski, specjalnie dla Najj. Pana przeznaczony. Z pozoru zewnętrznego odznaczający się wielką prostotą, urządzony jest jednak z nadzwyczajnym komfortem i wszelkiemi możliwemi dla dalszych podróży wygodami i z zastosowaniem najnowszych zdobyczy techniki kolejowej. Pociąg składa się z dziewięciu wagonów i oświetlony jest elektrycznie za pomocą maszyny dynamoelektrycznej, umieszczonej w pierwszym wagonie. Najpiękniej oczywiście urządzone są wagony przeznaczone dla Najj. Pana, a mianowicie „fumoir“, gabinet do pracy, jadalnia i sypialnia. Obicia aksamitne i adamaszkowe są przeważnie zielonego koloru. Ozdoby architektoniczne wewnątrz wagonów projektował artysta rzeźbiarz Józef Wehr, wykonali zaś profesorowie Stibral i Rzichowski, ze szkoły przemysłowej w Pradze czeskiej. Ozdoby malarskie wykonał malarz Genisek. Na uwagę też zasługuje kuchnia, znakomicie urządzona. Długość pociągu wynosi 117·3 metrów.

Na budowę szkoły polskiej w Białej przysłali na ręce M. Siedleckiej: p. Leopoldyna Iżykiewicz, nauczycielka w Dubiecku złr. 6 za sprzedane cegiełki; p Jakób Kostkiewicz z Rzeszowa 64 złr. 48 ct. za cegiełki; inspektor kolei w Żywcu, p. J. Barański 32 złr. 83 ct. złożone na jego ręce. W tem zebrano: na adres Asnyka 12 zł. 50 ct. za cegiełki 5 złr. 20 ct. z dobrowolnych składek robotników i służby kolejowej na przestrzeni Zwardoń-Hucisko złr. 14 złr. 63. Strażnik kolejowy z budki 15 w Soli, Stanisław Cieluszak 50 ct. na gimnazjum polskie w Cieszynie.

Cholera. Dnia 21 bm. razem pozostało w leczeniu z dni poprzednich 13 osób, zachorowało 6 osób, umarła 1 osoba, pozostaje w leczeniu 18 osób.

Nekrologia. Kazimierz Majcherek, obywatel m. Krakowa lat 68, zmarł w Krakowie 22 b. m.

HUMOR.

MONOLOG SCHMEIGELESA.

Miałem kłopat ja niemały,
Bo z mich córek, co ich pięcz,
Mężów tylko trzy dostały.
Dwie nikt zabracz nimiał chęcz.
Zaczęły mnie maltretowacz,
Że ja już nie chczałem życz.
Medycynę chcą studjowacz,
Dokturżami chczały bycz.
Posyłałem je do bady,
Bo tam łatwiej jest o mąż,
Lecz nie buło żadnej rady,
Dżewycami buły wcząż.
Jonas Pfeffer, handlarz skóry,
Co węgierskim żydem jest,
Radżył, coby moje córy,
Wisłacz *mit dem Zug nach* Pest.
No i w tem węgierskiem mieszcze
Mężow córki miały wnet,
Jeden jest żupanem w Peszcie
Ny, a drugi w Keczkemet.

Już mędrcowie starożytni
Wyrazili zdanie o tem,
Że mowienie srebrem bywa,
Zaś milczenie bywa złotem.
Więc, gdy chwalić zechcesz siebie,
Miły bracie, pomyśl o tem,
Że mówienie srebrem bywa,
Zaś milczenie bywa złotem....

To, co robimy często, podoba się nam rzadko.

Jeżeli wszcząłeś spór z niewiastą kłótliwą, ustąp jej rychło: niczem jej tak nie dokuczysz.

Nie wynajmujcie mieszkania w zamkach na lodzie i nie łudźcie się nadzieją, iż mieszkania są tam bezpłatne.

Podejrzenie zatruwa życie więcej, niż samo nieszczęście.

Licz przyjaciół przed, a nie po uczcie.

Nie wolno o nikim powiedzieć, że jest głupi, dopóki się nie ożenił.

W cukierni.

— Porcja kawy i dwa ciastka.

— Trzydzieści centów.

— Wydaj mi 70 reszty, a jak tu jutro wstąpię, to ci dam guldena.

☞ Do dzisiejszego numeru dołączamy nadzwyczajny dodatek powieściowy, arkusik 3, z powieścią „Mała księzniczka“.

Rady gospodarskie.

Chcąc przechować przez zimę owoc, najlepszym zdaje się być następujący sposób: Skrzynkę o zawartości pół metra kubicznego ustawia się w sklepie zabezpieczonym od mrozu i posypuje dno jej miałkim, osianym mułem torfowym na grubość palca i na nim układa się owoc, tak, aby się nie dotykały. Następnie wypełnia się tak samo mułem istniejące pomiędzy owocem próżnie, daje po nad tem znowu taką samą warstwę mułu, jaka daną była pod owoc na spód skrzynki i tak postępuje się aż do zupełnego jej zapełnienia. Owoc podobnie przechowany, zatrzymuje smak, zapach i kolor swój aż do wiosny.

* Leczenie kolek u konia. Dwoje ludzi froteruje konia w zimnej wodzie zamaczanemi i wyciśniętemi wiechciami ze siana po obu stronach, począwczy od grzbietu aż do brzucha. Froterowanie to powinno trwać do 5 minut, poczem wyciera się suchym wiechciem 2 minuty. Następnie zawija się konia począwszy od głowy aż do ogona, zwłaszcza zaś brzuch w podwójne wełniane derki. To zawinięcie derkami sprowadza poty i pragnienie, które zimną wodą należy gasić. Gdyby kolki po jednorazowem owinięciu derkami nie ustąpiły, tedy należy derki które od pół do jednej godziny na koniu leżały usunąć, i froterować na nowo zimniejszą wodą, silniej i dłużej. Tylko w bardzo rzadkich wypadkach trzeba powyższy proceder trzy razy powtarzać, aby przeważnie śmiercią kończącą się chorobę usunąć.

SZARADY.

I.

Do *pierwszego*, dla zdrowia spieszy ludzi mnóstwo,
Dwie drugie, oznaczają oszczędność, ubóstwo,
Wszystkie są odetchnieniem przyjemnem po pracy,
Poświęcają im życia połowę... próżniacy.

II.

Pierwsza płynie, *trzecie* wspak każdy ma przed sobą.
Pierwsza z drugiem przypomnisz, gdy o gardle mowa.
W *wszystko* kiedyś jeździłeś aż do Wilanowa,
I dziś znajdziesz je przed tobą.

Rozwiązanie szarad z Nru 265.

Ko—piec. Mo—dli—twa.

Dobre rozwiązanie obydwu szarad przysłali: Panie Olga A. ze Smolina i Apolonja Kwiatkowska z Krakowa i p. Konstanty Chodkiewicz z Grębowa, jednę zaś szaradę, mianowicie drugą, rozwiązał p. Ignacy Moczydłowski z Kalwarji.

OSTATNIA POCZTA.

W Królestwie Polskiem, jak donosi *Now. Wr.* (nr 7074), od dnia 13-go stycznia 1896 r. utworzona będzie nowa instytucja lokalna ministerstwa rolnictwa.

Statki mocarstw europejskich, które sułtan pozwolił przeprowadzić przez cieśninę Dardanelską, mają być znacznie większe od znajdujących się dotychczas w Bosforze europejskich okrętów. Sułtan zastrzegł sobie jednak, aby cała załoga mających stać odtąd w Bosforze dwunastu okrętów nie była większa nad tysiąc ludzi. Pierwotnie sułtan usiłował odwlec zezwolenie na przejazd statków, zasłaniając się wzburzeniem, jakie ten krok wywołać może wśród ludności muzułmańskiej. Ambasador austrjacki jednak, baron Calice użył argumentów tak energicznych, że opór sułtana zmiękł natychmiast.

Stanowczo przecholował *Czas* w swojej półurzędowej gorliwości, występując z reakcyjnym artykułem w sprawie obostrzeń regulaminu parlamentarnego. Nawet organy partji żydowsko-liberalnej, dla której obrony obostrzenia owe miały być wprowadzone, zawstydziły się tych pomysłów. Niedość na tem; obecnie sam hr. Badeni zastosował do swego krakowskiego przybocznego dziennika, wypróbowany już dobrze podczas krótkiej swojej politycznej działalności system zaprzeczeń i spostrzegłszy ujemne wrażenie, jakie wszędzie sprawić musiały wywody *Czasu*, pomieścił w wiedeńskiej starej *Presse* następujący komunikat: „Niektóre anty-liberalne dzienniki wyrażają oburzenie z powodu artykułu krakowskiego *Czasu*, w którym tenże dziennik wyraża swoje zdanie o zamierzonej reformie regulaminu Izby poselskiej i omawia rozmaite projekty. Wspomniane dzienniki chciałyby uczynić odpowiedzialnym rząd za te zupełnie samoistne zapatrywania krakowskiego pisma. Wobec tej insynuacji, należy przecież stwierdzić, iż rząd nie miał jeszcze żadnej sposobności do zajęcia stanowiska w sprawie reformy regulaminu“.

Telegramy

własne „*Głosu Narodu*“.

Petersburg 23 listopada. W radzie lekarskiej utworzona została specjalna komisja pod prezydencją prof. Sklifasowskiego, mająca rozstrząsnąć kwestję wprowadzenia znaków dla wszystkich lekarzy.

Rzym 23 listopada. Król Humbert oświadczył, że nie ma poważniejszych obaw o dalszy przebieg wypadków na Wschodzie. Wszystkie mocarstwa ożywione są intencjami pokojowemi.

Konstantynopol 23 listopada. Rozkazy, wysłane przez W. Portę do komendantów wojskowych i władz w Azji Mniejszej, grożą surowemi karami w razie zaniedbania najenergiczniejszych kroków celem stłumienia zaburzeń.

Madryt 23 listopada. Z Kadyksu odpłynęły znowu dwa bataljony na Kubę.

Londyn 23 listopada. Karawana straconego przez Belgijczyków w Kongo kupca angielskiego, Stokesa, przybyła na wybrzeże wschodnio-afrykańskie z zapasem kości słoniowej wartości 40.000 funtów sterlingów

Lwów 23 listopada (w południe). Komitet centralny poleca dla okręgu Kołomyja-Śniatyn-Buczącz kandydaturę adwokata dra Trachtenberga. Żydowska odezwa wyborcza zaleca wybór Blocha, ponieważ złożenie mandatu przez Blocha antysemici uważają za tryumf swojej taktyki. Odezwa zapewnia, że Bloch w razie, jeżeli zostanie ponownie wybrany, nie wstąpi do Koła polskiego.

Wiedeń 23 listopada (w południe). Wystąpienie z klubu Hohenwarta zgłosili w dalszym ciągu górnoaustrjaccy posłowie włościańscy Zehetmayr i Wenger.

Wiedeń 23 listopada (w południe). Dzisiejsze posiedzenie Izby zaczęło się wśród atmosfery ponurej. Galerje są zupełnie próżne. Parlament sprawia wrażenie, jak gdyby obradował podczas stanu wyjątkowego.

Wiedeń 23 listopada (w południe). Ostateczny rezultat czeskich wyborów miejskich jeszcze nie jest zupełnie znany. Dotychczas wybrano: dwunastu niemieckich antysemitów, jednego kandydata chrześcijańsko-socjalnego, piętnastu liberalnych, dwóch Staroczechów, jednego omladynistę. Reszta mandatów przypadła Młodoczechom. Antysemici mają nadzieję, że zdobędą jeszcze dwa mandaty.

Wiedeń 23 listopada (w południe). Trybunał zwykły uwolnił od wszelkiej odpowiedzialności żydów, oskarżonych o to, że wymuszali głosy wyborcze od ubogich stolarzy, grożąc im utratą kawałka chleba.

Zofja 23 listopada (w południe). Na końcu wczorajszego posiedzenia Sobranja, radosławista Waczew wystąpił z wnioskiem, aby zmienić § 38 konstytucji, odnoszący się do religji następcy tronu. Sobranje odmówiło żądaniu, aby wniosek ten postawić na porządku dziennym przyszłego posiedzenia.

Rzym 23 listopada (w południe). Dziennik *Italie* umieszcza korespondencję petersburską, pochodzącą, jak tu utrzymują, wprost z ambasady rosyjskiej. Korespondencja ta, a raczej rodzaj komunikatu zapewnia, że Rosja wcale nie myśli podniecać i zachęcać armeńskich powstańców. Wrazie, jeżeli do wiosny nie uda się Turcji całkowicie stłumić powstania, Rosja naturalnie będzie musiała interweniować i zażąda w tym celu od Europy mandatu do przywrócenia w Armenji porządku, na wzór tego mandatu, jaki w swoim czasie etrzymały Austro-Węgry odnośnie do Bośnji i Hercegowiny.

Paryż 23 listopada (w południe). *New York Herald* ogłasza następującą wiadomość: Cesarz Wilhelm zakomunikował cesarzowi Franciszkowi Józefowi treść listu, jaki otrzymał od cesarza Mikołaja za pośrednictwem w. ks. Włodzimierza. List ten nie zawiera żadnej wzmianki o przymierzu Francji, Niemiec i Rosji na wypadek rzucenia projektu podziału Turcji.

Paryż 23 listopada (w południe). Utrzymują, że prezydent Faure odmówił Leonowi Bourgeois podpisania kilku dekretów, zawierających dymisję wielu urzędników politycznych.

Komisja śledcza, złożona z admirałów, została wyznaczona do zbadania, czy wina za ostatnie katastrofy okrętowe spada istotnie na admirała Gervais. Gervais jest niecierpiany przez przywódców partji radykalnej, która obecnie stoi u steru. W swoim czasie Gervais odmówił podania ręki radykalnemu deputowanemu Guiyesse, który obecnie jest ministrem kolonji. Gervais chciał przybyć osobiście do Paryża dla usprawiedliwienia się, ale minister marynarki Lockroy, polecił mu nie opuszczać swojej eskadry pod Salins d'Hyères i wytłómaczyć się telegraficznie.

Ostatnie telegramy „Głosu Narodu“.

Wiedeń 24 listopada (rano). Na wczorajszem posiedzeniu Izby poselskiej rząd przedłożył projekt ustawy o dostarczeniu środków pieniężnych na zakupno gruntów pod budowę żeńskiego seminarjum nauczycielskiego we Lwowie, oraz trzeciego gimnazjum państwowego i gimnazjum św. Anny w Krakowie.

Dep. Steinwender powołując się na ograniczenie wydawania kart na galerję, zażądał, aby w tej sprawie odbyła się konferencja przewodniczących klubów. Prezydent Chlumecky zauważył wobec tego, iż nowy regulamin izbowy, który ma być najściślej wykonany, nie zmierza do ograniczenia prawa posłów do otrzymywania kart na galerje, lecz dąży tylko do równomiernego zastosowania tego prawa. Równ eż pod żadnym warunkiem nie może być ścierpianem, aby ktokolwiek wchodził na galerję bez karty i aby rezerwowane loże zajmowane były przez osoby, dla których one rezerwowanemi nie były. Prezydent zresztą gotów jest chętnie zwołać konferencję przewodniczących klubów dla omówienia tej sprawy.

Obradowano następnie nad kredytem dodatkowym na pokrycie potrzeb trybunału administracyjnego. Zabrał głos dep. Vaszaty i w ostrych słowach przeciwko orzeczeniom trybunału administracyjnego i prezesowi tego trybunału, Schönbornowi, za co prezydent Izby przywołuje mowcę do porządku. Dep. Schücker zażądał wydania ustawy, któraby język niemiecki uczyniła językiem państwowym. Po załatwieniu sprawozdań o zamknięciach rachunkowych i kontroli długu państwa, z porządku dziennego nastąpiła dyskusja nad sprawą zezwolenia na karne ściganie antysemity Schneidra z powodu zarzutu zakłócenia porządku publicznego.

Dep. Schneider wypowiedział we własnej obronie gorącą mowę. Mowca nie dziwi się, że partja żydowsko liberalna chce go wydać w ręce sądów. Mowca omawia właściwości żydów, którzy niechęć do ciężkiej pracy od wieków jest znaną, czego już dowodzi Tacyt. Nawet żydzi to przyznają i usiłują się jedynie tem, że chrześcijańska ludność, wśród której żyją, nie dopuszcza ich do pracy. W dalszym ciągu wywodów mowcy przerywa mu prezydent Chlumecky, wzywając mowcę, aby nie podnosił oskarżeń przeciw całemu plemieniu. Dep. Schneider oświadcza, że chce tylko odeprzeć sprawozdanie komisji. Mowca rozumie Hiszpanję i Portugalję, które wprowadziły inkwizycję przeciwko żydom. W Austrji żydzi się wyemancypowani od r. 1848, ale nie trudnią się rzeczywistą robotą, lecz tylko lichwą i handlem dziewczętami. Mowca cytuje ustępy ze Starego Testamentu i talmudu, oraz roztrząsa wpływ, wywierany przez żydów we wszystkich państwach.

Wiedeń 24 listopada (rano). Wczorajsze posiedzenie parlamentu miało fizjonomję nudzwyczaj smutną i ponurą. Korytarze zwykle tak ożywione i parlatorjum były zupełnie próżne. Od czasu do czasu zjawiały się na nich typowe postacie żydowskich dziennikarzy. Galerje w dwóch trzecich opustoszałe. Na zewnątrz silny oddział policji zamknął dostęp do galerji; stało tam około 150 osób, pragnących wejść do sali obrad. Z tych jedynie 60 wpuszczono na galerję.

Głównie interesującym przedmiotem wczorajszego posiedzenia była sprawa wydania deput. Schneidra. Mowa samego Schneidra szorstka w formie, obfitowała w dużo ciekawych szczegółów.

Żydzi — mówił Schneider — umieli zawsze wypadki historyczne tak ukształtować, aby mogli z nich wyciągnąć korzyść. Szulhan Arach utrzymuje, że chrześcijanie nie są ludźmi, że własność chrześcijan nie jest własnością, że między chrześcijanami nie ma małżeństwa, lecz tylko pożycie jakby pomiędzy koniem a osłem. Mowca przedstawia książkę, zawierającą przyznanie, że krew chrześcijańska potrzebna jest do żydowskich obrząków.

Mowca powołuje się na świadectwa tych, którzy widzieli żydowskie wesela: jaja na twardo owwają rozkrawane i posypywane czarnym proszkiem. Czy wiecie, co to jest ten proszek? To jest krew chrześcijańska (Śmiechy na lewicy) Tak! Śmiejecie się przy każdem wyzyskiwaniu chrześcijan... Ale powiedźcie lepiej, co się działo w Tisza-Eszlar, Xanten, Corfu, Aleksandrji i wielu innych miejscowościach? Wszędzie były trupy, nie było jednak winnych.

Mowca oświadcza, że pewien żydowski redaktor, który obecnie jest jednym z koryfeuszów prasy wiedeńskiej, ukradł komuś płaszcz zimowy, inny przesiedział w zakładzie karnym w Suben, cztery lata więzienia, inny znowu popełnił morderstwo rabunkowe. Obecnie konferują z nimi deputowani i ministrowie. Redaktor, który przesiedział cztery lata więzienia w Suben, nazywa się Józef Weiss. (Dep. Hauck: „Sfałszował kupony węgierskiej kolei wschodniej!“ Deput. Gessmann: "To był przyjaciel serdeczny p. Mengera!“ Dep. Menger usprawiedliwia się).

Dep. Schneider: „Był to *spiritus rector* dla lewicy w sprawach przemysłowych“. Dep. Gessman oświadcza, że wniosek wydania dep. Schneidra w ręce władz sądowych jest tendencyjnem prześladowaniem motywów politycznych i właśnie dlatego, że tak jest, uchwalić go żadną miarą nie można.

Dep. Byk stara się odeprzeć oskarżenia Schneidra wymierzone przeciwko żydom. Dep. Kronawetter oświadcza się przeciwko wnioskowi komisji. Podobne oświadczenie składa dep. Lueger, który wskazuje na potężny wpływ żydów w Austrji. „Patrzcie na Koło polskie — mówił Lueger — ci panowie byliby już oddawna w naszym obozie, gdyby w tem stronnictwie wpływ żydowski nie był tak przemożny. Byłoby to także nadzwyczaj pożyteczne dla polskiego ludu. Serce mi się krwawiło, kiedy widziałem galicyjskich włościan, którzy chwycili za kij pielgrzymi. Któż ich popchnął do emigracji? Schlachta? Nie! Sami chłopi? Z pewnością nie! Któż więc pozostaje? Naturalnie tylko żydzi!“ (Oklaski i poruszenie w całej Izbie). Każdy chrześcijanin jest wrogiem żydów, a tylko wielu z nich nie śmie się do tego przyznać.

Wydanie Schneidra w ręce władz rządowych uchwalono 132 głosami przeciwko 52. Najbliższe posiedzenie odbędzie się we środę.

Praga 24 listopada (rano). Dotychczas wybrano 90 Młodoczechów. *Narodni Listy* zamieszczają pełen zadowolenia artykuł. *Hlas Narodu* zaznacza, że 61% wyborców nie prało udziału w wyborach.

Londyn 24 listopada (rano). Z Azji mniejszej nadchodzą wiadomości o nowych łupiestwach Kurdów i okrutnym rozlewie krwi.

Havanna 24 listopada (rano). Powodzenia powstańców są coraz większe. Zwycięstwo odnoszą po zwycięstwie. Powstańcy podpalili miasto Guina di Miranda.

(*Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcji, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje*).

Podziękowanie.

Wdzięczność moją składam u stóp czcigodnego **Dra Brauna** za uratowanie życia żonie i matce rodziny, która nie jest w możności za trud, pracę i naukę Jego wynagrodzić. Niechaj więc dzieci Twoje zacny Panie, rosną wśród błogosławieństw licznych matek i liczniejszych jeszcze dzieci, które ochroniłeś od sieroctwa — bo cicha Twa praca, pełna znoju i trudu, więcej pożytku przynosi ludzkości, niż głośne czyny sławy zzakomitości świata. **Jakób Klakla**

2977 Grzegórzki 10.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.